



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Z CYKLU SONETÓW

„NAD GŁĘBIAMI“

przez El. . . y.

XI.

W coraz-to wyższe przeradza się wzory
Pył ożywiony, co w przestrzeni krąży;
Ledwie się w cieniu śmiertelnym pograży,
Wnet go z martwości świt rozbudzi skory.

Śmierć—to ciąglego postępu chorąży!
Który na nowe świat prowadzi tory,
Wschodzącym kielkom usuwa zapory
I z rzeszą istot w nieskończoność dąży.

Z jego opatrnej, choć surowej, łaski
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią,

I w coraz nowe przystrajają się blaski.
I coraz dalej mknąc na fali chyżej.
Po stopniach przemian posuwa się wyżej.

Z ŻYCIA O ŻYCIU.

I. Sztuka biedy.

„Także dziwaczna myśl: uczyć biedy! Czemu już jej nie siać i nie hodować!

Takie będzie niezawodnie pierwsze wrażenie, jakiego wiele umysłów dozna na widok sztuki zestawionej z biedą.

Wrażenie to jednak nie wytrąca pióra z ręki: przeciwnie, silniej je do niej przykuwa. Widać, że potrzeba istotnie zajrzeć do wnętrza kwestyi, której samo postawienie już wywołuje wątpliwość.

Nigdzie na świecie potrzeba posiadania tej sztuki, potrzeba pogodzenia się z nią, przyjęcia jej za podstawę bytu, nie jest tak wielką, jak u nas; bo nigdzie też niema takiego tłumu tych, którzy *nie byli*, lecz dopiero *stali się* biednymi: nie mieli więc sposobności nauczyć się biedy bezwiednie, przez samo doświadczenie, od najwcześniejszego dzieciństwa. I tych *urodzonych* uczyć potrzeba; a cóż dopiero owych nieurodzonych parweniuszów biedy! Dla kogo czas mistrzem być nie mógł, ten sam dla siebie mistrzem być powinien, i sam też na własnej skórze biedy swojej nauczyć się musi.

Kilka uwag ułatwiających takie samouctwo, przydać się może niejednej z tych pań, którym bieżący numer *Bluszczu* przyniesie do przepyszego budoaru wygalonowany lokaj. U nas szczególnie, i w dzisiejszych czasach, fortuna kołem się toczy.

Platon w *Fedrze* mówi o duszach na ziemię lecących dla wcielania się w istoty ludzkie. We wspaniałej jego wyobraźni—z chmur wiekuistego

Wszech-ducha spadają istne deszcze, leją się potoki jednostek duchowych na ziemskie padoly. Myśl filozoficzna uroczym oświetla te kaskady światłocieniem rozumu. Filozof dzieli dusze spadające na dziewięć kategorii, od mędrca sprawiedliwego do tyrańca, i każdej z nich przynajmniej przypisuje treść charakteru i przyszłego losu, każda stawia we właściwym jej rzędzie stworzenia. Te platońskie potopy dusz, jako istności pojęciowe, wysuszyła już dawno religia chrześcijańska, ślady ich zatarła nauka; ale nie udało im wydrzeć poetycznego ich uroku. W literaturze długo jeszcze żyć będą.

Mamy i my swoje kaskady—tylko już nie platońskie i niestety, mniej od nich poetyczne: dusze spadają u nas, nie z nieba na ziemię, ale z ziemi do piekła. Deszcz tych upadków nie ustaje, a od jakiegoś ćwierć wieku jest ciągłym. Załamują się istnienia; ludzie ze szczytów spadają od razu na dno przepaści—i dziwią się sobie samym, i samych siebie rozpoznać nie mogą w nowym zupełnie, a tak strasznie odmiennym otoczeniu. Nie mamy statystyki tych upadków, nie wiemy, ile ich jest z własnej winy, z własnej nieprawej woli, a ile z nieszczęść zewnętrznych lub lekkomyślności, nierozwagi, niedostatecznej czujności. To tylko powiedzieć możemy, że są i jedne i drugie, a bodaj czy przy tych nieszczęśliwych, rozprężliwych naturach naszych,—w których łatwiej o genialność, niż o sumiennosc,—upadki zasłużone nie są od niezasłużonych częstszymi. Może kiedyś, już nie za naszej pamięci, zjawi się jaki historyk obyczajowy, który następcom naszym napisze historję upadku rodów polskich: jakże ona okropną, niemiłosierną, okrutną, a przytem jakże i nauczającą będzie!

Tych, którzy od początku lecieli naoslep w przepaść i, lekceważąc zdrowy rozsądek, godność własną, stanowisko społeczne, obowiązki rodzinne, majątek i zdrowie, bez najlżejszego poczucia obywatelstwa, czło wieczeństwa i ojcow-

stwa — targali wszelkie węzły, łamali wszelkie prawa, z życia zbytkowego czynili sobie poezję duszy, aby tę duszę zezwierzęcić — tych wszystkich, którzy sami sobie grób systematycznie kopali — myśl, braterską radę, wskazówkę i przestrożę niosąca, pozostawić musi na ogólnym nasypisku nieużytecznych już, martwych gruzów i odpadków społecznych. Sztuka biedy przydać się może tylko tym, którzy majątkowe i społeczne swoje stanowisko utracili głównie przez nieszczęście, przez niepomysłne warunki ekonomiczne, miejscowe, ogólnokrajowe i powszechnie dziś w całym świecie występujące.

Najczęściej również i przy takich nieszczęściach współdziała i sam człowiek. Niedola majątkowa rzadko kiedy spada na nas jak kamień, miażdżący głowę przechodnią. Na wielką rzekę składają się drobne strumyki; na jedną piorunującą chwilę — całe lata nieodczuwanych nawet na razie zdróżności i wykroczeń przeciwko prawu zachowania własnego bytu. Niewinność w upadkach rzadko bywa białą lilią ewangeliczną, którejby żadna nie kaziała wina; prawie zawsze znajdzie się w niej błąd zaniedbanego rachunku, niedostatecznej troski o jutro, niedość surowego nad sobą panowania. Nawet tam, gdzie niema zgola żadnej lekkomyślności — a jakże u nas trudno o takie wypadki! — jest jeszcze nieumiejętność, niezaradność, jakaś tępość myśli, ślepotą niewidząca przepaści. Tak jest — niema co ukrywać, ubarwiać i zamazywać. W wielkiej liczbie tych nawet upadków majątkowych, które *uczciwemu* nazwać potrzeba, ścisły przedmiotowy rozum, gdy na trybunale zasiądzie, znajdzie winę tam, gdzie potocznie, bez pogwałcenia prawdy, mówić można o niewinności.

Nie bądźmy jednak tak surowymi: rozum podmiotowy, widzący własne błędy przeszłe a przypuszczający możliwość przyszłych, zupełne nam wystarczy. Trzeba poludzku patrzeć na ludzi i samemu czuć się tylko człowiekiem, równie ułomnym, jak ci, których się ma sądzić. Dlatego we wszystkich wypadkach, które uczciwemu nazwać potrzeba, miejmy przed sobą zawsze widok nieszczęścia spadłego na uczciwość. Ta kategoria upadających bardzo często może jeszcze wiszące nad swemi głowami nieszczęście powstrzymać; może się w położeniu swoim rozejrzeć: może więc i przyjąć wskazówki praktycznego rozsądku i bratniej społecznej życzliwości — aby z nich skorzystać, póki czas.

Dla tej właśnie kategorii upadających lub upadłych kreśli tutaj uwagi swoje człowiek bliższy już starości, który na samym sobie i na innych doświadczał natury ludzkiej i w tysiącnych wypadkach starał się poznać niezłomne prawa konieczności psychologicznej, panującej nad czynami ludzkimi.

Sztuka biedy jest umiejętnością życia w biedzie po życiu w dostatku. Umiejętność tę trzeba sobie zdobywać umysłem, wyobraźnią, wolą, sercem, charakterem — duszą całą. Ma być ona właściwie urabieniem duszy do ograniczonych warunków bytu, przystosowaniem się istoty do nowego położenia, w którym albo bez niej zginąć będzie musiała, albo z nią tylko utrzymać się będzie mogła. Wyboru innego niema: czyj gmach majątkowy, mimo najrozsądniejszych i najtęższych wysiłków, zaczął się już zapadać, ten już o własnym tylko ratunku myśleć powinien: a taki ratunek podać mu może jedynie umiejętność życia w biedzie, którą oby jaknajdłużej względną tylko nazywać miał prawo! Każdy upadek majątkowy, każdy trwały i rosnący z roku na rok ubytek w dochodach, otwiera pod stopami przepaść: ślepy, zawsze w nią wpadnie. W dzisiejszych ciężkich czasach ziemianie, zwłaszcza więksi i średni, zwani popolicie *szlachta*, powinni mieć oczy ku czuwaniu otwarte.

Przedmiotem tej umiejętności, która ma nas nauczyć życia w biedzie, jest największe ograniczenie potrzeb całej rodziny i własnej osoby, czyli jaknajwiększa oszczędność. Sztuka to stara, jak świat, i, jak świat stary, lekceważona. Sztuka biedy dalej sięga, bo egarnia i wszystkie stosunki życia i samą treść tej siły wewnętrznej, przez którą człowiek w społeczeństwie i w towarzystwie żyć ma. Jest to nauka strategii poka-

zującej, jak walczyć z człowiekiem dawnym na rzecz nowego, mającego się z rozumnej miłości siebie i swoich narodzić; jest to nauka polityki, uczącej, jak nad namiętnościami, nałogami, najprawdziwszymi nawykami, najistotniejszymi nawet potrzebami, silny rząd trzymać i nie dać się strącić z tronu najsilniejszemu nawet demosowi bezwiednych, w drugą naturę już zamienionych, popędów. Oszczędność jest celem, ale drogi do tego celu pokazać ma właśnie sztuka biedy, której nauczyć nikogo nie podobna, którą każdy sam wyrobić dla siebie musi, — jeżeli żyć chce.

„Póki czas!“ to hasło. W języku ludzkim jedno jest tylko słowo straszne: „Zapóźno.“ Póki czas, wszystko jeszcze mieć można, jeśli się tylko ma samego siebie — jeżeli, jak owa dusza platońska z *Fedra*, umysł zdolny jest ująć silnie wodze unoszących go w zamęt życia biegunów. Wielka jest potęga nieszczęścia, ale jest i nad nią i nad wszystkie potęgi i rzeczy tego świata wyższa: potęga człowieka, jak śpiewa, z niezapomnianym nigdy wdziękiem poezji rozumu, chór w sofoklejskiej *Antygonie*. Trzeba tylko znaleźć samego siebie: znajdzie się i przyszłość swoją. *Ce n'est que le premier pas qui coûte*. Po pierwszym kroku dalsze idą łatwiej i coraz łatwiej. Z dobrem dzieje się to samo, co ze złem; w świecie moralnym to samo, i więcej jeszcze, niż w świecie materii. Ciała spadają coraz prędzej, w rosnącym straszliwie stosunku; taksamo spadają i dusze: jedna chwila popycha drugą, złe się podnosi do kwadratów i sześciątów przez złe. Czem siła ciężkości dla ciała, tem siła nawyku dla duszy. Ale siła ciężkości duchowej ma w sobie cudowność, jakiej skutek bezwładności swojej nie znają ciała fizyczne: dusze spadają coraz prędzej, ale też i coraz prędzej się wznoszą.

Kto raz wszedł na dobrą drogę, i idzie nią jednostajnie, wytrwale, — przed tym zmniejsza się przestrzeń: w każdej jednostce przebieżonej drogi, znajduje już coraz większą jednostkę drogi przyszłej, którą ma dopiero przebyć. Ale biada tym, którzy ustaną, lub w przeciwną odwrócą się stronę, aby znów zejść tam, z kąd wyszli: zdrada własnych postanowień i własnego *Ja* — zemści się na nich; złamany nagle ruch, odrzuci ich daleko poza punkt wyjścia, ockną się w głębszej przepaści, niż pierwej — niepomni, że zabijając dobre swe myśli, mordują samych siebie, to najwyższe ze wszystkich dobro i najwyższe szczęście osobiste, jakim jest własna, rozumnie żyjąca indywidualność. Dla tych już niema ocalenia. Zaczynają należeć do drugiej owej kategorii upadłych; idą na wstrętne rumowisko społeczne. Ucieka się od nich: niech przepadają. Sił nie wolno marnować na pomoc nierozumną.

Ponieważ dziękuję Bogu, że mnie na salonowca nie stworzył, użyję więc porównania z niesalonowego życia ziemiańskiego: trzeba schwytać barana za rogi. Kto się na to nie dobił, ten się dał już ubiedz losowi swemu. W pierwszej chwili potrzebował być tylko przestornym i uczciwym człowiekiem; później mu już i bohaterstwo nawet nie wystarczy. Bohaterstwo Mówić o niem nawet nie podobna; bo jeśli jedyny jeszcze umysł, zdrowa jeszcze dusza tworzywa bohaterstwa w sobie nie miała, jakże je znajdzie przy starganych już, gnuśnością porażonych siłach? Dlatego, jak wszelkiej pracy, tak i tego trudu mającego wykształcić nas w sztuce biedy — niewolno nam do jutra odkładać. Biada tchórzom i leniwcem. Niemcy mają doskonałe przysłowie o leniuchach: powinniśmy im być za nie wdzięczni. Całą tę reformę, mającą nazewnątrz zmienić nasze położenie, cały sposób życia, a na wewnątrz urobić duszę do biedy, potrzeba rozpocząć odrazu, skoro tylko rachunek wykaże jej konieczność.

Rachunek... nieszczęście to właśnie, że uciekamy od niego. W stanie kupiecko-przemysłowym samo jeszcze powołanie go narzuca, ale w innych, nieprodukujących ani w czystym przemyśle, ani w handlu, kredka jest, mimo ciężkich czasów, rzeczą ciągle jeszcze mało znaną i używaną. A jakże to użyteczne, zbawienne narzędzie, jak wielki przyjaciel i dobroczyńca! Ileżby rodzin od upadku uchronił, gdyby mu działać swobodnie, surowo pozwolono i nieprzeparanej ni-

czem wymowy jego słuchano! Przyjmujemy u siebie różnych przyjaciół, ugaszczamy nieraz pierwszych lepszych: a tego prawdziwie szerego, prawdziwie godnego przyjaźni, rzadko kiedy dopuszczamy do domowego ogniska.

Od rachunku jaknajściślej zacząć się musi życie nowe tych, którym podawnemu żyć już nie wolno. Bez rachunku wszystkie dobre chęci zmarnieją. Rachunek tylko wykazać nam może naturalny podział wydatków według stopnia ich niezbędności na konieczne, użyteczne i konieczne — abyśmy mogli pierwsze zatrzymać, drugie ograniczyć, trzecie odrzucić, i wygnąć, i ślady ich nawet w etacie życia naszego wygładzić. Kto bez rachunku wybiera się w drogę oszczędności, ten przypomina podróżnika, któryby na słotę i wichurę, na chłody i znoje wybrał się — w balowym stroju.

(Dokończenie nastąpi.)

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg.)

Pan Sylweryusz patrzył na syna z uśmiechem i mówił:

— Widzisz, że papa miał rację, kiedy mrzonkami nazywał twoje młodociane porywy — młodość — płochość, musi wyszumieć. Ja w twoim wieku także szumiałem, ale inaczej, i nie żałuję tego. Moi przyjaciele przynajmniej o nic do mnie żalu nie mają, i jeśli mnie wspominają, to pewnie tylko dobrze, twój zaś urazę czują do ciebie i obmawiać będą... *C'est sûr*.

Przerwał sobie w tyradzie rozpoczętej i zakładając monokl, który od dłuższego czasu znowu nosić zaczął z galanterią starego dandysa, pobiegł naprzeciw szykownej brunetki, pożegnawszy syna słowami:

— Bądź zdrow, widzę panią Freuden bez margrabiego, muszę raz skorzystać z jego nieobecności. Cukierek kobietka!...

Romułd pozostał w zamysleniu sam, bujając się na krześle, zapatrzony przed siebie daleko na morze, pokryte jakby złotawą łuską, mieniącą się i migotliwą w promieniach południowego słońca.

Zalatywał go zapach fiołków, które mu żona dziś rano zatknęła w kieszonkę tużurka na piersiach; wyjął machinalnie bukiet i zaczął obrywać listek po listku z wonnych kwiatów, rozcierał je pomiędzy dłońmi, przesiewał przez palce i wreszcie cisnął całą garść w powietrze z jakimś ruchem apatycznej rezygnacji, który musiał odpowiadać wynikowi jego rozmyślań.

Słońce ogrzewało go łagodnym ciepłem, doznawał uczucia jakiejś sennaści; zdawało mu się, że powoli zasypiał w nim wszystko, jedna myśl po drugiej, głowa, serce, nerwy rozstrojone; ta chwila bezwzględnej spokoju w osamotnieniu sprawiała na nim dziwne jakieś wrażenie, wyczuwał jakby po moralnym i fizycznym wysiłku, nie czując żadnego braku. Zanurzał się w tej spokojnej ciszy, jak sybaryta w ciepłej kąpieli, z przymkniętymi oczyma, gotowy usnąć w swej marmurowej wannie i zapomnieć o całym świecie, chociażby przyszło nie obudzić się więcej.

W tym wypoczynku i spokoju czuł dopiero, jak był zmęczony dotychczasowym życiem, tem ciągłym pragnieniem czegoś, co mu się bezustannie wymykało, tem oszłobieniem, w którym szukał zadowolenia i złudzenia samego siebie.

— Co to jest? — mówił sobie — coś ze mnie ubyło i lżej mi jakos; nie myśleć nigdy o niczem, nie

czuć nic — to dopiero musi być rozkosz. Gdyby tak pozostać mogło nazawsze!...

Siedział nieruchomy, jakby go błękitno-zielone oko morza zahypnotyzowało Wędrowiec, który na chwilę składa swój ciężar ze zgarbionych pleców i siada przy drodze, by wytchnąć — musi doznawać tychsamych błogich uczuć, jakich doznawał Romuald, ale też z tymsamym trudem i niechęcią zrywa się z ziemi na zawołanie, z jakim on wyrwać się musiał z tej chwilowej drzemki moralnej, gdy ułyszał za sobą głos służącego, który go przywołał znowu do świadomości i obudził z tego mile apatycznego stanu.

— Listy i dzienniki przyniesiono z poczty — meldował lokaj, podając plikę gazet i korespondencji.

Z wyrzutem niemal spojrzął na służącego i skrzywił się niechętnie; przestał być ciekawym drukowanych nowin, od czasu swego pobytu w Nizy nie otwierał prawie nadsyłanych dzienników, odrzucił je i teraz na bok: większa część korespondencji była tym razem do żony i do teściów; do niego przyszły tylko dwa listy, na jednym poznał adres pisany ręką Rotowicza, drugi adresowany kupiecką kaligrafią, zawierał illustrowany cennik jakiegoś francuzkiego fabrykanta, który ośmielał się najuprzejmiej polecać swoje niezrównane flanelowe wyroby, bieliznę, pościeli i „trykotaże zdrowia.“ — dodając przy każdym artykule przesadną reklamę i rozumowane uwagi higieniczno-społeczno-ekonomiczne.

Romuald machinalnie przerzucał kartki cennika i przeglądał rysunki, jakby go one na prawdę zajmować cokolwiek mogły; spostrzegł się sam wreszcie, że pada ofiarą własnego roztargnienia i odrzuciwszy cennik, rozerwał wreszcie kopertę listu Rotowicza. Adwokat pisał tym razem krótko, ale dobitnie; nie ukrywał swojego zdziwienia z powodu postępowania Romualda i donosił, iż stronictwo „Czynu“ widzi się zmuszonym dalej bez niego kierować swymi sprawami, skoro tak trudno porozumiewać się z nim listownie w kwestjach żywotnych — i skoro mu „wiodocznie ważne przyszkody nie pozwalają z dawną energią i wytrwałością zajmować się teraz interesami publicznymi.“ Nie wspominał już ani jednym słowem o oczekiwaniu odpowiedzi na swoje listy, zostawiając temsamem wolną wolę odpisywania Romualdowi, którego dotychczasowe milczenie mogło być także uważane za odpowiedź, nawet za odpowiedź bardzo wymowną i stanowczą.

Romuald odczytał list Rotowicza z pochmurnem czołem i zagryzioną wargą; wyrozumiał z niego, że mu cofano dotychczasowe zaufanie i dawano dymisy, jako moralnemu kierownikowi stronictwa, które niejako sam zorganizował i prowadzić po drodze czynu zamierzał. Mścić się na nim teraz zaczynała niekonsekwencja życia i z tej strony, najdotkliwszej dotąd u niego.

Zerwał się podrażniony tym ciosem i śpiesznie podążył na górę do swego gabinetu, aby natychmiast odpisać Rotowiczowi, wytłómaczyć się, odeprzeć ukryte zarzuty, naprawić złe; usiadł przy biurku i zaczął pisać. Zwykle szło mu tak łatwo, dzisiaj nie umiał myśli swoich streścić, brakło mu argumentów, czuł, że w tym liście musi obronę na oskarżenie przesłać; ale czuł zarazem, że potępia sam siebie w głębi duszy, że sofizmatem, zamiast szczerą prawdą, musiałby się posługiwać. Pozostawał mu jeden jedyny środek: przyznać się ze wstydem do winy, do swego stanu, który go czynił niezdolnym do dawnej sprężystości woli i umysłu.

— Dajcie mi pokój, pozwólcie mi wypocząć, otrząsnąć się, załatwić wpierw z sobą samym sprawę, a potem dopiero wrócić do innych spraw, które was zajmują teraz, do działalności dawnej, która wymaga świeżej energii, siły, zapału i wiary; czuję się sennym, zmęczonym, chcę wytchnąć przed dalszą drogą, dajcie mi teraz pokój...

Gdyby było wypadło, byłby napisał w ten sposób do Rotowicza, ale takie wyznanie upokarzało go, sam przed sobą nie chciał się przyznawać do tej prawdy smutnej, bo rzeczywistej i najprawdziwszej ze wszystkiego.

Zpod pióra wypływały mu komy, frazesy,

stylistycznie odrobione, ale puste, któremi dawniej sam pogardzał, — nie wierzył w to, co pisał.

— Po co ja mu to wszystko piszę? — spytał się wreszcie, zatrzymując pióro — to niczego nie zmieni przecież; to są tylko słowa, a im potrzeba odemnie czynu. Dam im pieniądze, niech robią tymczasem bezemnie...

I podarł zapisany do połowy list, a natomiast napisał drugi, krótki, w którym, nie tłómacząc się z niczego, przeprosił Rotowicza, iż mu nie odpowiadał, ale że rzeczywiście nie mógł się zdobyć na odpowiedź z powodów czysto prywatnej natury; przyrzekał, że za powrotem do kraju, stanie znowu przy wspólnym sztandarze, tymczasem zaś prosi, aby z jego kasy na wszystkie cele stronictwa korzystano tak samo, jakby był między nimi obecnym. Oświadczał gotowość dostarczania na każde zawołanie funduszków, jakie będą potrzebne na popchnięcie sprawy dziennika i poparcie innych celów publicznej wagi. Zapomniał, iż niegdyś sam w ferworze na jednym ze wspólnych zebrań, powiedział z emfazą:

— Panowie, więcej od kapitałów potrzeba nam dzisiaj ludzi, więcej od złota żelaznej woli i wytrwałości; na giełdzie naszego życia człowiek — nie rubel ma swój kurs. Bankructwo na ludziach jest stokroć gorsze, niż krach milionów!...

Gdyby w chwili, kiedy podpisywał list do Rotowicza, jakie złośliwe echo było mu przyniosło te słowa z przeszłości, tak niedawnej stosunkowo, byłby chyba własnego głosu i myśli własnych nie poznał.

Papa Fiszbauum wszedł do pokoju zięcia właśnie, gdy ten zaklejał kopertę i rozpromieniony podsunął mu przed oczy bilecik księcia de Chouy, mówiąc:

— Patrz, książę zaprosił się sam do nas dzisiaj na herbatę; szkoda, mój Muldziu, że nie nauczyłeś się dotychczas przynajmniej wista, lub écarté, mielibyśmy z ciebie czwartego do naszej partyi. Będzie cię musiała Ludka zastąpić, jeżeli nie zapomniła grać w karty dotychczas; kiedys to ona z Magdzą umiała mnie tak obębnić, że wychodziłem bez jednego *abouta*... Ale, ale... Czytałeś ty dzisiejszego *Figara*?... mój kochany, zrób mi tę przyjemność i przeczytaj sobie wstępny artykuł o „Złoty rybka“; jest to, mówię ci, napisane *comme il faut*, przeciw sinekuroom w republice.

Romuald skinął głową na zgodę.

— Książę pękał dziś ze mną od śmiechu, czytając to — mówił dalej bankier, wkładając ręce do kieszeni i śmiejąc się jeszcze z zadowoleniem, nie wiadomo tylko, czy na wspomnienie księcia, czy na wspomnienie artykułu.

— Nie widziałeś Ludwika z matką? — spytał ode drzwi.

— Nie widziałem tych pań od rana.

— To zapewne poszły do Odonieckiej; wiesz hrabina wyjeżdża; coś jej się nagle stało, musi wracać na Ukrainę.

— Co za hrabina?

— Jakto, co za hrabina! — obruszył się Fiszbauum — przecież wiesz dobrze, że mówię o Odonieckiej.

— Ona wyjeżdża?! — zawołał Romuald, zdradzając wrażenie, jakie ta wiadomość na nim sprawiła.

— A wyjeżdża, już się pakuje od rana; to dziwne, że jej książę nie lubi — mówił dalej bankier obojętnie — powiada, że mógłby przy niej kataru dostać, taka chłodna była dla niego. — Ja jej sam nie poznaję tutaj, coś się z nią takiego stało — ona stetryczała, nie uważasz?... widocznie wdowieństwo jej nie służy, chociaż marszałek utrzymuje, że on-by ją jeszcze rozruszał, gdyby mu wypadło brać się do niej, a twój ojciec to stary konesser. Ile on ma lat teraz?...

Romuald udawał, że zajęty adressowaniem listu, nie słyszy zapytania; Fiszbauum spojrzął na niego przez ramię, wydał dolną wargę i machnąwszy ręką, wyszedł z pokoju, nucąc fałszywym głosem kuplet, powtarzany po słynnej Judie z najnowszego wodewilu „*Je suis toujours la petite Niniche, la petite Nimichon*.”

Znajomość z księciem de Chouy podniosła o jeden stopień wyżej humor i arystokratyczne skłon-

ności papy Fiszbauuma; zdawało mu się teraz, że jest legitymistą i zachorował na polityka, zajmując się sprawami republiki tak gorąco, jak-gdyby był urodzonym Francuzem. Czynił to, aby się przypodobać księciu, z którym po całych dniach teraz paradował wszędzie, gdzie tylko można się było pokazać, czepiając się jego ramienia z mieszaniną ryzykownej poufałości i instynktowego uszanowania dla błękitnej krwi, która podobno w żyłach księcia była dobrze podfarbowaną.

— Zobaczysz Roza — mawiał do żony w chwilach dobrego humoru z miną komicznie uroczystą, wskazując na dziurkę od guzika — zobaczysz, że ja będę miał tutaj jeszcze kiedyś legię honorową!... no, o co zakład?...

Pewnego razu odezwał się przy obiedzie po-francuzku:

— Cobycie wy powiedzieli, żebym ja się tak kiedy przeniósł do Paryża?...

Romuald popatrzał na niego i wzruszył ramionami, co nie uszło uwagi jego żony, która mniej z przekonania, a więcej z chęci przypodobania się mężowi spytała ojca z odcieniem nieszczerzego zgorznienia:

— Jakto, i papa zgodziłby się kraj porzucić?

Fiszbauum się skrzywił i odrzekł sentencyonalnie:

— Moje dziecko, człowiek nie jest drzewem, żeby wrastał w ziemię; ja i tak robię poświęcenie, że dotąd nie pomyślałem o tem.

— O, już co do mnie, papo, jabym się nie ruszyła z Warszawy! — przerwała mu, patrząc jednocześnie na męża, jakby w jego spojrzeniu szukała pochwały za ten „patriotyczny wykrzyknik; ale Romuald siedział z oczyma spuszczone i milczał zamysłony swoim zwyczajem; nie wiedział czemu przykre na nim wrażenie sprawiła ta emfaza nazimno własnej żony, pod którą nie czuł prawdy i szczerości.

Marszałek dał rozmowie odrazu inny zwrot, odezwawszy się z miną wykwintnego smakosza:

— Co jak co, ale powiadam wam, że mi te karczochy zagranicą inaczej smakują, niż w kraju; jadałem je przecież na pierwszych stołach, no, i za lepszych czasów u siebie, a jednak porównania niema z francuzkami, — prawda, prezesie?

— Mnie tu nawet woda lepiej smakuje, choć jej prawie nigdy nie pijam — odparł Fiszbauum.

Tego rodzaju temata dość często zaprawiały familijną rozmowę przy stole.

Po wyjściu teścia, Romuald podparł głowę i rozmyślał. Wiadomość o wyjeździe Zofii spadła na niego niespodzianie; mieli się tedy znowu rozstać, przeciecz mówiło mu, że tym razem nazawsze. Ale dlaczego tak nagle, dlaczego teraz właśnie?... Od czasu owej rozmowy w nocy po koncercie nad brzegiem morza czuł w sobie jakąś dziwną zmianę; zdawało mu się, że nie ma tej dawnej śmiałości patrzenia otwarcie w oczy kobiecie, którą przecież kochał i której dotąd pragnął tak gorąco.

Były chwile w jego życiu, w których unikał spojrzeń Ludwika, teraz podobne uczucie budził w nim wzrok Odonieckiej; nie śmiał patrzeć ani jednej, ani drugiej prosto w oczy, jakby względem obu czuł się winnym; dłuższa sytuacja pomiędzy żoną a jej rywalką, wydawała mu się nieznośną; to mimowolne chwianie się między dwoma przeciwnymi biegunami męczyło go, drażniło, rozstrajało i wykolejało bezustannie.

Jakiś moralny niesmak dokucał mu chwilami tak, że się otrząsał sam nad sobą, ale mimo to, grzęznął powoli dalej w tem trzęsawisku, na które wstąpił pierwszym fałszywym krokiem w życiu.

Pani Zofia zamiar wyjazdu powzięła była od dawna, chociaż się z nim nie wydawała, przyspieszyła go tylko teraz, skutkiem wiadomości otrzymanych z kraju; wymagano bowiem jej obecności na termin w układach z dalszą rodziną nieboszczyka męża, która rościła sobie znaczne pretensje do dziedzictwa pozostałego po nim.

Właściwy jednak powód nagłego postanowienia był inny; jeden Romuald tylko miał się dowiedzieć o nim podczas ostatniego pożegnania.

Wszedł do salonu pani Zofii ze słowami:

— Czy to prawda?... pani wyjeżdżasz?

Odrzuciła się od biurka, przy którym porząd-

kowała listy i papiery w dużym atlasowym portfelu i rzekła:

— Tak, jak pan widzisz, pakuje się do drogi.

— Dlaczego tak nagle?...

— Czyż nie siedziałam tu dość długo?... za długo nawet — dodała z melancholijnym uśmiechem — wszystko się musi skończyć na tym świecie, i piękna wiosna w Nizy się kończy. Nie miałam przecież zimy tego roku, nie widziałam śniegu poraz pierwszy w życiu; kiedy wrócę do Zarucza, zastanę już zieloną ruń na polach; będę miała drugą wiosnę na moich stepach. Widzi pan, jak to można całe życie urządzić sobie na kwiatach; potrzeba tylko zmienić klimat w pewnych porach roku.

Znać było po niej, że umyślnie stara się zachować swobodny ton i obojętny temat w rozmowie.

— Pan mi pozwoli porządkować dalej moje szufladki? — spytała Romualda — tak mało mam czasu na wszystko...

— Kiedyż pani wyjechać myśli?...

— Jaki to kiedy?... dziś na noc.

— Dzisiaj już?... ależ to niepodobna!...

— Dlaczego?... czy pociągi przestały kursować?...

— To zakrawa na ucieczkę, nie na wyjazd — zauważył, patrząc jej w oczy.

— Może ja też uciekam — odrzekła z podrobionym uśmiechem na ustach.

Chciał ująć jej rękę, ale ją cofnęła niby przypadkiem.

— Więc kiedyż panią zobaczę znowu? — spytał.

Spojrzała na niego, jakby z wyrzutem, że żąda od niej odpowiedzi na takie zapytanie; miała na ustach i w myśli wyraz: „nigdy”, ale nie chciała go wymówić, aby nie zepsuć nim sztucznego nastroju do rozmowy; postanowiła unikać wszystkich gwałtowniejszych wstrząśnień i tematu, któryby ich na nowe bezdroża wyprowadził.

— Panie Romualdzie — odrzekła głosem, w którym czuć było lekkie drżenie — góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem...

— Będziesz pani w Warszawie? — spytał znowu po chwili.

— Nie wiem; w każdym razie nie rychło. Z Zarucza tak daleko do Warszawy.

Umilkli; przez okno zajrzało słońce i złota smuga światła przedzieliła ich, jakby przezroczystą ścianą, którą smutne ich spojrzenia przesywały ukradkiem, a której ręce do uścisku drżące przerwać nie śmiały. On patrzył na nią jak machinalnie składała listy i przedarte koperty odrzucała do kosza z papierami, ona zdawała się tą robotą być tak zajęta, że oczu od niej oderwać nie mogła.

— Będzie tu bardzo smutno bez pani — odezwał się wreszcie on, głosem cichym, zniżonym, jakby nie usta, ale myśli jego przemówiły.

Stłumiła westchnienie i zniżając głowę nad biurkiem, rzekła:

— A ze mną wesoło?... także nie.

Potem wstając od biurka, dodała:

— Wystrzępione nitki trzeba zerwać, bo się niepotrzebnie płaczą i tkają dalej swoje pasmo, póki sił i przedzi starczy. Wierz mi pan, panie Romualdzie, to najpraktyczniejsza rada w życiu. Mówiła to z jakimś łagodnym smutkiem i rezygnacją.

Wyciągnął ku niej obie ręce i spytał niemal błagalnie:

— Dlaczego pani odjeżdżasz?...

Przez chwilę wahała się z odpowiedzią, ale widocznie przemogło w niej tajone uczucie i rzekła:

— Bo powinnam to była zrobić znacznie wcześniej dla mego i dla pańskiego dobra. Kiedy się dwoje ludzi kochających złączyć nie mogło, powinni się unikać po rozstaniu. Po co się napróżno doświadczać, szarpać, walczyć, wiedząc, że zwycięstwo jest niemożliwym... to tylko marnotrawstwo sił i życia. Trzeba niecofnięte zło znosić cierpliwie, aby go nie pogarszać. Pan i ja, panie Romualdzie, nie mamy już ani jednej ścieżki z sobą wspólnej w życiu; ile razy spotkalibyśmy się z sobą, tylekroć któreś z nas musiałoby zbroczyć ze swojej drogi i zbłądzić gdzieś na manowce, a pan wiesz, że to nie dla nas!... mnie miłost-

ka za miłość nie starczy, a romans z panem nie naprawi życia, bo nie potrafiłabym żyć kradzionym szczęściem, — o nigdy!...

Wzdrygnęła się na wspomnienie czegoś, co ją boleśnie dotknęło, i sięgnawszy do kieszonki swej bluzy, wyjęła z niej list jakiś.

— Patrz pan — rzekła — pisała do mnie — anibyś przypuścił kto!... Panna Ernestyna z Warszawy, przyjaciółka waszej rodziny. Pod pozorem protekcji dla młodej sieroty, którą chce mi polecić na wieś, bardzo niezręcznie przesyła mi szpilkę za pana.

— Za mnie!...

Zerwał się z siedzenia i przystąpił do niej szybko.

— Tak, za pana; winszuje mi dobrej zabawy w waszem kółku i z całą hypokryzją złośliwości pisze, ot tu czytaj pan sam: „Pobyt Szanownej pani w Nizy podobno bardzo korzystnie podziałał na pana Lackiego, który wyjechał z Warszawy pochmurny i skwaszony nie do wytrzymania, a teraz, jak powiadają ożywił się niezmiernie i nabrał humoru, za co kochana nasza Ludka musi być pani niezmiernie obowiązana. Znając niezrównane zalety drogiej pani i pewną pokrewność umysłów waszych — rozumiem tu, naturalnie pana Romualda i kochaną panią — nie dziwiłabym się wcale takiemu wpływowi, zwłaszcza, że tam coś kiedyś przebakiwano o was obojgu; ale choć przysłowie powiada: *on revient toujours à ses premières amours*, nie bardzo wierzę w ten powrót u dzisiejszych mężczyzn, zwłaszcza żonatych i wyciekających pierworodnego syna; bo oile słyszałam wczoraj od baronowej, ta mała nasza Ludka spodziewa się w jesieni zostać już matką. *Tiens, tiens!*... niedawno przecież sadzałam ją na kolana.”

Zmieniła list i włożyła go do portfela na biurku, mówiąc:

— Widzisz pan, że ludzie więcej się nami interesują, niż sami przypuszczamy. Mamże dla ich satysfakcji pozostać jeszcze dłużej w Nizy, aż z kolei przyjdą panu powinszować dobrej zabawy — ze mną?...

Powiedziała to z goryczą i naciskiem na ostatnie wyrazy.

— Więc to panią dotknęło? — spytał — ta aluzja złośliwych języków..

— To mnie ostrzegło, panie Romualdzie — przerwała mu spokojnie z łagodną pobłażliwością — pod temi gładkimi słowami kryje się bardzo szorstka prawda. Nie chodzi wcale o mnie; dopóki nie będę się poczuwała do jakiegokolwiek winy, podejrzenia panny Ernestyny i całego świata mnie nie dotkną, ale pan masz żonę, a żona pańska nie powinna cierpieć z mego powodu. Matce swojego dziecka powinienes pan oszczędzać wszelkiej goryczy. Dla mnie trudno panu będzie zachować jakie względy; — my jesteśmy obcy dla siebie wobec całego świata, panu nawet nie wolno stanąć w mojej obronie, gdybyś zobaczył dwuznaczny uśmiech na czyjich ustach, bo twoja obrona naraziłaby nas oboje więcej, niż wszystko inne, mnie nie wolno nawet odpiierać podejrzeń, bo *qui s'excuse — s'accuse*... Los przeznaczył nam bierną rolę w tej scenie.

Nie miał odpowiedzi na jej rozumowania, zwiślał głowę i stał przed nią zgnębiony, pochmurny, zboląły.

Trzeba dźwigać życie tem wytrwalej, im cięższe — rzekła z westchnieniem: — Et, co tam będziemy sobie zatruwali ostatnie chwile przed rozstaniem! — dodała, próbując zmienić ton głosu i nabrać swobody, która nie licowała ani z jej bladą twarzą, ani ze spojrzeniem suchych wprawdzie, ale zapadłych i zasmuconych oczu.

W pierś Romualda zawrzała znowu nagle burza; czuł, że mu serce bólem i żalem niewymownym wzbiera, gdy słuchał tego spokojnego, słodkiego głosu, który bez skargi, z dziwną jakąś rezygnacją, czy z filozofią cierpienia, przemawiał dotąd do niego.

— Zofio!... pani Zofio! — wybuchnął, wyciągając po raz trzeci do niej ręce na próżno; odsunęła się od niego szybko, jakby się bała jego dotknięcia i przestraszyła spojrzenia jego oczu; otworzyła drzwi i zawołała głośno:

— Dziuniu! — opierając się o ścianę; nie chcia-

ła zostać z nim dłużej sam-na-sam. — Dziuniu, pójdz się pożegnać z panem Lackim!...

Opuścił ręce, nie śmiał kroku postąpić, instynktownie musiał uszanować jej wolę.

We drzwiach ukazała się dziewczynka, z główką opuszczoną, z rączkami z tyłu splecionymi, stanęła na progu i na widok Romualda spochmurniała.

— Jestem — rzekła oschłym i zimnym głosem.

Rzucił się ku niej, porwał na ręce i całował ją zaczął z wylewem uczucia, którego nie śmiał okazać w pożegnaniu z panią Zofią.

— Bądź zdrowa, bądź zdrowa Dziuniu! — powtarzał, tuląc jej główkę czarną do swojej twarzy — bądź zdrowa, a pamiętaj o mnie, pamiętaj o swoim Romusiu, Dziuniu!

Dziewczynka ze zdziwieniem przyjmowała te pieszczoty i nie odpowiadała na nie; przyjaźń ich dawno już zerwała się i rozpękła. Serduszko jej biło głośno i gwałtownie, ale nie mogła się zdobyć ani na jeden wyraz pożegnania, ani na jeden pocałunek gorętszy, jak to było dawniej, dla swego Romusia, gdy nie czuła do niego żadnej jeszcze urazy.

Pani Zofia z boku patrzyła na Romualda i milczała; bladą była, jak marmur grobowy, ale twarz miała spokojną i nie w niej nie można było wyczytać z tego, co się w jej duszy działo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KSIĄŻKI

dla młodzieży i dzieci.

(Dalszy ciąg.)

„Wyprawa po skarby ukryte w puszczy. Przygody podróżników w Australii, przez M. J. Zaleską, wolny przekład z francuzkiego” — to jedna z tych książek podróżniczych, których prostoplastą jest niezapomniany nigdy Robinson Kruzo, a które są zawsze najchętniej i najciekawiej czytane przez młodzież. Obrazy nieznanych krajin, sceny walk, niebezpieczeństw, zapasów zwodzonych z dziką naturą i nieoderwanym jeszcze od jej łona człowiekiem pierwotnym, zajmują żywo młodą wyobraźnię, zwłaszcza chłopców, i są dla nich dobrem, można powiedzieć zdrowym, moralnie higienicznym czytaniem, bo wzmacniającym, rozbudzającym w nich męskie przymioty siły i odwagi — woli śmiałej, potrzebnej w życiu mężczyzny. Tu znajdują oni to wszystko, przecież sam tytuł wykazuje, że w treści książki tkwi jeden błąd ważny — błąd zasadniczy, a to, że „Wyprawa po skarby, ukryte w puszczy” jest wyprawą po skarby — że zatem ma przed sobą cel niski i mało szlachetny, bo zdobyć złota, dla którego pięknej, podniosłej czującej i myślącej młodości zapalać się nie godzi, już z tej przyczyny, że jej zapal jej pragnienia i tęsknoty zwracać się powinny w innym kierunku pod karą zestąpienia na życia poziom lichy.

Ale na szczęście (dla czytelników „Wyprawy po skarby ukryte w puszczy”) rozumne traktowanie przedmiotu niebezpieczeństwo to zmniejsza i prawie w zupełności usuwa; owe skarby są tylko jakoby powodem, dla którego wyprawa drze się uparcie w najniebezpieczniejsze dla białego człowieka strony Australii, a zwłaszcza powodem dla którego zaczają się na podróżników chciwy łupieżca i podbudza przeciw nim, naprowadza krajowców, a potem goni jeszcze przez morze. Skarby same nikną przytem niejako, schodzą dla czytelnika na plan daleki, a występują tylko, obok przebywanych niebezpieczeństw i zasadzek, zajmujące obrazy natury australskiej: flory i fauny, przyczem i jego wiedza geograficzna coś zyskuje. Że zaś pisze to pióro utalentowane, książka jest wiele zajmująca, i wielce ciekawa.

Wydanie Gebethnera i Wolfa. Kilka drzeworytów zajmująco rzecz ilustruje.

Teresa Jadwiga obdarzyła młodzież dwoma zbiorami powieści. Jeden z nich, gruby już tom,

wydany nakładem Hösicka: „Z różnych sfer“, mieści ich cztery, a z tych trzy pierwsze, oryginalne, rozwijają się na tle bardzo ważnego zagadnienia: jak człowiek powinien przygotowywać się do życia, aby zmiana majątkowego i towarzyskiego położenia nie powalała go od razu o ziemię. Pierwsza z powieści, *Koledzy*, przedstawia swych bohaterów w bardzo młodym, tyłkoc z dzieciństwa wyszłym wieku; ukazuje ich wśród rodzinnego domu, pod wpływem dwóch różnych kierunków wychowania, wśród których wytworzą się też zasadnicze różnice pojęć i poglądów, dające charakterom pierwsze ich nagięcie. Pedagogicznie rzecz biorąc, jest to niebezpieczne traktowanie przedmiotu, bo za podstawę służyć musi krytyka postępowania rodziców, ale Teresa Jadwiga zganiała tu to, co wszędzie i zawsze na nagane zasługuje. Miłość matki słaba i jej przesady średniowieczne, źle oddziaływające na syna, czynią go pysznym panicykiem, któremu się zdaje, że jest ulepionym nie z takiej gliny, jak ci inni, co w pracowitym trudzie torować sobie muszą drogę życia, aż szkoła każe mu się spotkać z tym strychnicem sprawiedliwości, która stawia go w szeregu, rządzonego przez równość i zasługę. Zrazu pańskie dziecko zrozumieć tego nie może, potem buntuje się w niem duma i popycha do je walki ze współzawodnikiem: kto lepszy?

Zdarzają się przytem i upadki ducha: zła namiętność zazdrości wysuwa rogi, panicz spotyka się wtedy z sądem kolegów, co w zakresie jego stosunków jest opinią publiczną, aż wśród tej, wyrabiającej go, nauki życia przychodzi ciężka lekcya nieszczęścia. Majątek, który był podstawą jego dumy, zostaje nagle straconym, i gdy ta rzecz krucha, na której się opierał, usuwa się z pod nóg pieśczocho losu, musi on stanąć teraz na innym już, niż szkolny, gruncie równości ludzkiej i dobijać się na nim uznania, aż w szlachetnym, wspólnie z dawnym współzawodnikiem dokonywanym czynie, otwierają się sobie ich objęcia i łączą się w uścisk bratni. Ten szczegół ostatni jest bardzo piękny i świeży wśród treści spowszedniałej już, jako temat powieściowy, jakkolwiek jest ona nigdy nieprzedawnioną moralnie i ma zawsze prawo, aby ją przed umysł młodzieży stawiać.

Druga powiastka: „W społeczeństwie“ przedstawia podobne nieco losy dziewczęcia, która też z bogatej ubogą się staje i o własnej sile musi iść między ludzi. Tu nie brak szlachetnych uczuć i rozumnych na życie poglądów, ale jest za mało uwagi na rady starszych, zbyt zaufania w siły własne i ztąd smutne kolidyze, przejścia ciężkie—razem bardzo dobra i potrzebna rada dla dziewcząt obecnej doby czasu. Doświadczenie ma swoją wielką wagę i daje mądrość, której brakować musi młodości, a niezawisłość zdania, wyprzedzająca dojrzałość umysłu, opłacić trzeba prawie zawsze bardzo smutnymi próbami życia, które nieraz wykołejają nazawsze z drogi, mogącej szczęśliwie wieść do celu dobra i szczęścia.

Trzecia powieść, „Zaprzędana“, należy nietylko do najczęściej zajmujących w zbioru, ale temat jest może poraz pierwszy podjęty w naszej literaturze dla młodzieży i szlachetnie pocziwy, szlachetnie dobry. „Zaprzędana“ przedstawia dziewczę, które więcej z próżności, niż z chęci używania: z tej źle pojętej dumy ludzi ubogich, pochodzących z klasy zamożnej, z klasy towarzyskiej, zwanej wyższą, oddaje się w najcięższą, w najhańbieńszą niewolę dostatku: rzuci kraj ojczysty, zamieszkuje w Berlinie przy bogatych krewnych wynarodowionych, gdzie dusza jej schnie, gdzie serce jej cierpi, a gdzie przecieź trzyma ją pycha najlichszego gatunku: pycha liczenia się do ludzi bogatych, do ludzi nie potrzebujących pracować na życie, co ją wstydziło, co chciałaby była ukryć przed ludźmi, jak winę jaką.

Znajduje się w tej dobrej powieści, wykazującej, jak się to łamią życia takie, jak się to w nich można dopuścić grzechu i zbrodni prawie bezwiednie, nieświadomie, a jednak pomimo tego, nie bez winy i odpowiedzialności — szczegóły jeden bardzo mądry, pod adresem starszych, pod adresem matek umieszczony. *Zaprzędanej*

matka umiera na obczyźnie z tęsknoty za krajem, z żalu, że go się wyrzekła, wyniosła między obcych, z którymi nic jej nie łączy, a wszystko dzieli; ta matka popełniała, wśród swego pracowitego i zkądnad odważnie znoszonego ubóstwa, jeden tylko błąd: wstydziła się przed ludźmi tego, że nie bogata, co autorka powieści scharakteryzowała wybornie w jednej ni by drobnostce. Z konieczności biedna kobieta nie mogła się ubierać bogato, ale snadź upokarzało ją to wielce i zmuszało do smutnej walki ratowania pozorów, do czego służył pewien zabytek przeszłości: szal turecki, który się chwycił coprędzej i zarzucał na ramiona, skoro tylko ktoś do drzwi zadzwonił. Nic to ni by, małostka, która wywołuje tylko uśmiech na usta czytelnika przez komiczną swoją stronę, ale kto wie: czy w tem nie tkwi cały związek dramatu?...

Ten stary szal turecki, odziewający pośpieszenie suknię ubogą, to może pierwsza przyczyna, że córka tej matki staje się renegatką i wyciąga nieszczęśliwą starowinę w świat obcy, gdzie znajduje biedna grób, ciężko gniojący jej włoski.

Tak to się wsiewają w piersi dziecinne ziarna próżności, ziarna fałszywego wstydu, z których potem wyrasta krzew trujący godność moralną zabijający na duchu—na uczciwości ludzkiej, na cności obywatelskiej.

Czwarta powieść: „Iza Harpley“, przerobiona z angielskiego, ma też tendencją szlachetną, z pewnym podobieństwem do tematu powiastki poprzedniej. Wychowanie zagranicą odcina nieszczęśliwie od społeczności bratniej i wtedy nawet, gdy serce kocha ni by to swoje gniazdo, tę ziemię ojczystą, na której rodziliśmy się, aby na niej żyć i pracować, dorabiać się zasługi przed Bogiem i ludźmi. To kochanie jest przecieź wtedy więcej jakąś teorią, niż uczuciem—obowiązkiem pojmanym przez rozum, ale bez udziału serca. To coś nieniętego, nielłomaczalnego, co się składa na miłość ziemi swojej, musi rość razem z nami, rozszerzając nam serce zwolna, ale ciągle, napelniając nam to serce zwolna, ale ciągle uczuciem nieokreślonym. To, co syn, co córka kocha w twarzy matki swojej: uśmiech, rysy, spojrzenia blask słodki, to wszystko kocha się i tutaj—od krajobrazu, od nuty starych pieśni, do tradycji przeszłości, do zamiarów na przyszłość—od rzeczy materialnych, do ideału zamkniętego w poezyi uczucia—wszystko się na tę miłość składa. Nauczyć się tego nie można, bo pierwej uczuć trzeba. Rodzice, co dla fanfaronady, szyku, interesu jakiejbądź natury, chowają dzieci swoje poza krajem, krzywdzą je i biorą na siebie taką odpowiedzialność za ich przyszłość, szczęście, życie uczciwe, jakiej nikomu nie wolno na duszę swą zaciągać.

Iza Harpley, Irlandka, wychowana w Anglii, przedstawia obraz istoty przez niemądrość wyrachowań rodzicielskich tak wykołejonej: ma wolę najlepszą, pcha się całą jej siłą, aby być taką, jak powinna, ale to wszystko, co w niej jest, tak, jak wszystko, czego jej braknie, staje się przeszkodą na tej drodze. Jest to coś, jak u pewnych osób brak muzycznego słuchu—niedostatek odczuwania pewnych stron życia irlandzkiego w jego najwyższej harmonii. Ale ona usiłuje zdobyć to sobie, ztąd nie traci sympatyj czytelnika i powieść tę zaliczyć też trzeba do bardzo dobrze pomyślanych.

Druga książka Teresy Jadwigi: „Z lat minionych“ ma tło historyczne, co już do niej pociąga; przecieź cały zbiorek złożony z trzech powieści nie budzi jednakowego zadowolenia. „Rycerz Błękitny“, powieść osnuta na tle walk z Turkami, a mianowicie nieszczęśliwej bitwy pod Cecorą i tej drugiej, która ją pomściła pod Chocimem, rozwija się bardzo szlachetnie i wzbudza zajęcie, bo mieści w sobie dramat wzruszający: pokutę młodego wojownika, który nakłada ją sam na siebie, za to, że uniesiony trwogą zdradził obojętność żołnierza i obywatela, zbiegł ze stanowiska, na którym przecieź powinien był trwać do ostatniego tchnienia. Interes rośnie jeszcze przez szlachetne postawienie się względem zbiega rodziny, która go odrzuca od siebie i jedna tylko siostra nie może zupełnie wydrzeć sobie z piersi uczuć przywiązania do wygnanego brata,

a wierna jej miłość, z litością złączona, jest jedynym jaśniejszym promykiem, który przyświeca życiu wykołejonego.

„Moja pieśczołka“, powiastka z czasów Jana Olbrachta, została zepsuta przez pojedynczy wprawdzie, ale ważny błąd, bo tak historyczny, jak pedagogiczny. Obrazując epokę, dopuszcza się autorka niewłaściwego sądu, pisząc o rozbijaniu rycerzy po drogach, co nie było nigdy u nas rzeczą ogólną, w obyczajach rycerstwa przyjętą.

W każdym razie, rzecz, względnie do czasu opowiadań autorki, pozostała już w tyle, zatem nie było żadnej konieczności podniesienia jej, aby rzuciła na młode wyobraźnie swój cień ponury.

Po co właściwie Teresa Jadwiga pisze powieści na tle dziejowem? Zapewne nie dla tej trochy wiadomości historycznych, jaka się tam zawierać może, ale dla innych, wyższych rezultatów moralnych—dla przykładów męstwa, odwagi, cnoty obywatelskiej, dla ukazania przeszłości w jej kolorycie barwnym, a to, aby serca wzruszyć, umysłem dać kierunek myśli wyszych, niż powszedniość codzienna, jak tego żądają pedagogowie wszystkich krajów i szkół, widząc w tem środek edukacyjny niemałego znaczenia. Ale dlatego względu właśnie, dla względu najmocniej już pedagogicznego, choć tu istnieje jeszcze i inny, nie należy przedstawiać im obrazów malowanych czarno, obrazów przenikających moralnym wstrętem, tam, gdzie pożądaną jest świetlaność jasna i wzbudzona sympatya serdeczna. Stary aforyzm łaciński, który o umarłych każe milczeć, jeżeli nic dobrego powiedzieć o nich nie można, tu właśnie znajduje swoje najwyższe, pod prawem karności pedagogicznej i obywatelskiej nakazane zastosowanie, o którym przecieź Teresa Jadwiga zapomniała w powiastce *Krwawę Dzieje*.

Przykra jest ona, bolesna i gorzej nawet: bo czyż to niedorosłej młodzi rzecz w krytykę dziejów się bawić i potępiające wyroki na przeszłość ferować? A jak dla dosadności, dla siły ni by, przykro to pisanie! Jak smutnedzieje wschodnich kresów naszych z ostatnich lat XVI wieku, boleśnie są ilustrowane obrazkami wewnętrznego życia dworu i chaty! Autorka poczuwa się poniekąd, do tego, że popełnia rzecz niewłaściwą, bo na czele tej powiastki swojej kładzie usprawiedliwiający ją ni by wiersz Syrokomli:

Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni,
Nie dla zgorszenia, ale dla poprawy...
Pozwól w twój obraz popatrzeć się mgławcy,
I nie poczytaj nas za świętokradce.
Nie miej za winnych synowskiej obrazu,
Jeśli się zdala przypatrując matce,
Na jej obliczu odkrywamy skazy. .

Ale któż to niedorosłym dzieciom pokazuje skazy na obliczu matki? Syrokomla nie tworzył swego wiersza dla małoletnich: inne okoliczności wywołały ten jego wykrzyk serdeczny, w innych czasach wydany i trudno zrozumieć, jak autorka *Krwawych dziejów* może tego nie pojmować? Wiadać brak tu jest tego delikatnego słuchu, który nutę toczącego się w koło życia chwytając umie i wie z jakiego tonu się odzywać, aby nie zgrzytnął dyssonas bolesny.

Przez „Krwawę Dzieje“ książka: „Z minionych lat“ powinna być na bok odłożoną, a szkoda, bo z nią razem i „Błękitny rycerz“ przepada, ale strata mniejszą jest, niż szkoda—szkoda niewątpliwa, jakaby poniósł młody czytelnik tej niefortunnej powieści. Byłaby ona zawsze w wysokim stopniu niepedagogiczna, głyby nawet tło, na którym się rozgrywa zupełnie obojętnem nam było. Dziecko zawezwane do krytyki stosunków socyalnych w historii!...

(Dokończenie nastąpi).

IRLANDCZYK U SIEBIE.

Opis kraju i mieszkań Irlandzkich. — Oplakany stan Irlandy i nędza tam panująca. — Historia cierpień Ludu Irlandzkiego i smutne przyczyny ztąd wynikłe.

(Dalszy ciąg).

Charakterystycznym zjawiskiem przyrody w Irlandyi są olbrzymie zwały kamienia, pokrywające grunta i niedające się żadną siłą ludzką usunąć. Chociaż użyto go na ułożenie wałów, na kilka mil długich, chociaż chatki i lepsze domki budują się z niego, jest go jednak taka moc, zajmuje on tak rozległe przestrzenie, że całkiem zasłania krajobraz. Chata biednego, nieszczęśliwego ludu tego przedstawia się oczom naszym niby wielka, niekształtna kupa ziemi; i jedynie ciemny dym, kwiczenie świni, lub też nędzny krzaczek, każą nam się domyślać, że to jest mieszkanie ludzkie. Mieszkanie takie, rzadko kiedy wybielone nazewnątrz, składa się z kawałków torfu, w wielkim nieładzie ułożonych i kamienia, narzuconego nieforemnie i niesymetrycznie. Szpary i otwory pomiędzy kamieniami, zatykają się zmoczoną ziemią.

Wysokość chatki od ziemi do dachu nie wynosi 5—5½ stopy. Dach pokryty jest słomą lub wrzosem. Żaden młot, żadne narzędzie cieśli nie było nigdy użyte do wzniesienia takiej chaty. Jakkolwiek Irlandczyk jest usłużny w innym wypadku, w tym jednak razie nie kwapi się z przysługą sąsiadowi. Z drugiej znów strony budującemu chatę w głowie nawet nie poстане myśl szukania pomocy u przyjaciela. Zbyt obojętnie zapatruje się on na tę kwestyę. Domek jego najczęściej nie ma ani okien, ani drzwi.

Otwór, służący jako wejście, zamiast drzwi ma zasłonięte z maty słomianej; a jeśli przypadkiem znajduje się w ścianie otwór na okno, to już z pewnością niema szyb, lecz miejsce ich zastępuje gęsta, nieprzejrzysta plecionka z janowca, lub słomy.

Komin na dachu jest wielkim zbytkiem u Irlandczyka. Miejsce jego zastępuje stara beczka bez dna. Często przybudowują do starej, walącej się chaty, drugą, nową, jedynie dlatego, aby użytkować jedną gotową już ścianę. Do domu nie prowadzi żadna ścieżka, choćby najmniejsza, a mieszkańiec tych przybytków nędzy zmuszony jest brnąć przez kałużę błota, lub wielkie brudne śmieciisko.

Człowiek przywykły do innej cywilizacji zaraz na progu staje jak wryty, na widok bezprzykładnej nędzy i straszliwego nieporządku. Gdy oko przyzwyczai się nieco do półmroku, panującego w izbie i do gęstego duszącego dymu, który przez cały prawie dzień napełnia mieszkanie, unosząc się czarnymi kłębami w powietrzu i tak już przez różne wyziewy zatrutem, nędza i bezład w całej nagości występują przed oczy, urągając wielkością swoją i potęgą, wspaniałym hotelem i pysznym, wytwornym salonem angielskim.

Wszystko, i ludzie, i dzieci nawpół nagie, i zwierzęta domowe, zapasy spiżarniane i torfu trochę, wszystko mieści się razem, w dymie w zatechlem, zatrutem powietrzu i w posępnym ponurym półcieniu. Zaiste, trudno sobie wystawić obraz bardziej poniżający, widok większej litości godzien, nad ten, który panuje w chacie Irlandczyka. Domki takie zwykle stoją na uboczu, w dość wielkiej odległości od siebie. Rzadko kiedy można napotkać dwie, trzy lepianki, przyciśnięte do siebie, niby tulące się sierotki, chcące skryć lichą powierzchowność swoją. Ubóstwo i nader oplakany stan mieszkań irlandzkich dobitniej się jeszcze uwidocznia z powodu, że są one pozbawione jakiegokolwiek zewnętrznej ozdoby. Nie widać obok chaty, ani drzewka, ani klombu żadnego; gdzieniegdzie tylko, na rozległej przestrzeni wyróżnia się biały elegancki domek dzier-

żawcy, z jakątką kępą drzew, lub lepiej zbudowany pałacyk właściciela z przyległym ogródkiem, a dalej nieco maleńki folwarczek.

Odzież i cała powierzchowność Irlandczyka doskonale harmonizują z dzikim krajobrazem okolicy i smutnym widokiem mieszkań. Brudne i obdarte ubranie jego, ziemistego koloru, służy mu zarówno w domu, jak i przy pracy na polu. Łachmany i strzępy majestatycznie, z chłodnym spokojem zwieszają się z każdej części odzieży, a właściciel jest tak opieszalszy, że nie zada sobie trudu ściąć ich nożycami, jeśli już nie naprawić. Czapka nawet dziurawa, wytarta i zniszczona. Irlandczyk nie posiada strojnniejszej odzieży świątecznej, choćby najskromniejszej, ani nie spożywa lepszej, wykwinniejszej strawy w Niedzielę lub święto. Zresztą nie dba o nią.

Nędza, głód, rozpaczna walka o byt powszedni, wiekowe jarzmo, przesławowania systematyczne, zabiły w nim wszelką energią, wypiętnowały na licu jego wyraz dzikiej, ponurej nienawiści. W oczach płonących ponurym ogniem maluje się nieubłagana zemsta i gniew zapalczywy. Pamiętny 1846 rok, w którym to cała prawie Europa dotknięta była nieurodzajem, szczególnie ciężkim był w Irlandyi; albowiem oprócz ogólnego nieurodzaju, kartofle, jedyne i przeważne tu pożywienie, uległy dziwnej chorobie, to jest wielkiemu, niepojętemu zepsuciu, co było niepowetowaną klęską dla nieszczęśliwego ludu. Od owego więc czasu przyłączyli do nędznej strawy swojej tak zwane *stirabout*; jest to rodzaj gęstej kaszy, z maki owsianej i takież, owsiane, placki. *Stirabout* rozpowszechnione jest w całej Irlandyi, ale kartofle mają przed nimi pierwszeństwo.

Doprawdy, że zwierzęta domowe w Anglii i w każdym zresztą innym kraju ucywilizowanym, żyją daleko lepiej i wytworniej, niż większa część ubożego ludu irlandzkiego.

Anglicy, chcąc przed głosem opinii publicznej usprawiedliwić winy przodków swoich i własne, starają się przekonać Europę, że Irlandczycy mają wrodzoną, niezmierną niedającą się wykorzenić skłonność do lenistwa, zamiłowanie do brudów i niechlujstwa, a wieczną biedę swoją i ubóstwo pielęgnują z uporem i upodobaniem.

Na temat ten Anglicy przytaczają mnóstwo przykładów, świadczących, jak trudno rozwinąć u nich zamiłowanie do pracy, do domu, do ogniska domowego, które tak cenione jest w Anglii.

Pewna lady angielska wyszła za mąż, za bardzo zamożnego właściciela irlandzkiego. Przybywszy do Irlandyi, i widząc straszne ubóstwo ziemiozwłoczki swego męża, zapragnęła biedakom przyjść z pomocą. W tym celu przywołała z Londynu kilku zdolnych i robotników i każała w licznych i rozległych dobrach męża wystawić kilkanaście schludnych, wygodnych domków. Zaopatrzywszy je w proste, lecz niezbędne sprzęty domowe i naczynia kuchenne, podarowała każdemu z wieśniaków swoich jeden domek, objaśniając przytem, jak ma czego użyć i jak się z czem obchodzić powinien. Do domku prowadziła czysta, żwirem i piaskiem wysypana dróżka. Po jednej stronie ścieżki ciągnął się spory kawałek pola; po drugiej—mały ogródek. Z tyłu zaś przybudowany był jeszcze chlew, lub stajenka dla bydła, w które też dobroczynna pani zaopatrzyła ludzi swoich.

Na pierwsze trzy lata uwolniła ich od płacenia czynszów; lecz po upływie tego terminu każdy wieśniak przy skrzętnej pracy i rozumnej oszczędności, dorobiwszy się jakiegobądź funduszu, powinien był wnosić czynsz należny, ale tak niewielki i z takimi ulgami, że jeśli by czyn podobny był trwały i lepiej w życie wprowadzony—biedny lud irlandzki z czasem możeby doszedł do jakiegobądź dobrobytu i porządku.

Przez kilka tygodni wszystko szło dobrze i należycie. Irlandczycy istotnie wzięli się do pracy, i byłoby może się powiodło zacnej lady, to jest, szlachetnej jej zamiary osiągnęłyby może cel pożądanym, gdyby nie ta okoliczność, iż zmuszoną była na kilka tygodni opuścić Irlandyę, by pojechać do Londynu. Za powrotem do dóbr swoich, dobroczynna pani nie poznała już ślicznych, białych domków. Brudne i obszarpane, podobne były do wszystkich siedzib irlandzkich. Ścieżka,

ogródek i półko zamieniły się w wielki śmietnik i kałużę błota, kominy na dachu pozatykane były kamiennymi płytami, aby tym sposobem zatrzymać dym w izbie, z którym tak się żył Irlandczyk. Wewnątrz też nie było lepiej. Na łóżku leżały kartofle, w pośrodku izby walały się różne potłuczone naczynia i sprzęty. Świnie i gęsi biegały swobodnie z sieni do izby i napowrót, znosząc wiele błota i śmiecia. Jednym słowem: wszystko wróciło do pierwotnego stanu niegospodarności i niechlujstwa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Grudniu 1887 r.

Choroba księcia następcy tronu obija się bolesnym echem w naszych stronach. Niechęć jego wiadoma dla polityki kanclerza Niemiec i osoby ks. Bismarka budziła nadzieję odmiany systemu i pokojowego na wewnątrz i zewnątrz panowania. Zresztą księżę następcę podczas ostatniej bytności w Poznańskim dobre był zostawił wrażenie i wspomnienie. Przyjmował go natenczas ochmistrz jego dworu, hrabia Radoliński, w pięknym swym zamku Jarocinie. Hr. Radoliński, wychowanie otrzymawszy kosmopolityczne, od młodości służył w pruskiej dyplomacji, ożenił się z Angielką i mało w kraju przebywał; nie przedstawia tedy bynajmniej, ani wpływów, ani żywiołu polskiego na dworze berlińskim. Księżę następcę z życzliwością i zajęciem przypatrywał się w Jarocinie zabawom ludu naszego, do którego nawet kilku słowami polskimi przemówił, a sędziego z pobliskiego miasta, który na zapytanie wyznał, że popolsku nie umie zgoła, zgromił surowo, powtarzając, iż należy znać stosunki i mowę otaczającej ludności, aby się z nią sprawiedliwie obchodzić. Wszystkie nadzieje, rozbudzone życzliwym usposobieniem następcę, upadną, jeśli choroba nie da mu przeżyć sędziwego ojca, i berło przejdzie w ręce wojowniczego wielbiciela Bismarkowskiej polityki, młodego księcia Wilhelma.

Jubileusz papieżki i u nas wywołuje skrzętne zachody, aby nie wyłączyć się od powszechnego ruchu kotołickiego świata. Prócz obfitszej, niż zwykle, daniny Świętopietrza, rosnącego groszem ubogich, mimo ogólnej biedy, dyecezye nasze złożyły wspaniałe przybory do mszy świętej, tak w białym kościelnej, jak w przepysznych ornatkach, których roboty podjęła się pracownia bractwa czci nieustającej, hrabianek Skórzewskich w Poznaniu (Rynek Nowomiejski 1). Wznosiły się tam najpiękniejsze, a jak mieliśmy zatracone, tradycje owych robót ręcznych staropolskich matron, których ślady odnajdujemy dotąd po kościołach i zakrystiach naszych. Nie jeden, lecz kilka kosztownych ornatów, niebawem ztąd do Rzymu odejźcie. Jeden z nich, ze złotej lamy, grubo złotem haftowanej, w słupie środkowym, a raczej krzyżu, przedstawia główne sceny z życia Chrystusa Pana, misternie kolorowemi jedwabiami oddane. Drugi ornat, biały, ma wartość, jako robota i pamiątka zarazem, jest bowiem kopią słynnego na Wawelu ornatu królowej Jadwigi. Trzeci, czerwony, także bogactwem złotego haftu i oryginalnych galonów zachwyca. Razem z darami dyecezalnymi, złożonym zostanie i kosztowny ornat, nad którym pracuje dotąd kilkanaście najrzęczniejszych hafciarek, ofiara hrabiny Raczynskiej: na ciężkiej jedwabnej materii białego koloru wije się wypukłym a różnorodnym renesansowym wzorem haft złoty, sprawiający raczej wrażenie artystycznej rzeźby.

Dary te ubóstwa naszego, zaiste, poczynne zajmują miejsce na watykańskiej wystawie, świadcząc i o naszej ofiarności i o wykwinności smaku, i o rzęczności pracowitej igły polskiej. Niechże tam zaniósł żalobę serc naszych, krwawiących się dotąd skutkami kulturkampfu i ro-

snąciami obawami na przyszłość. Brak duchowieństwa dotkliwie u nas uczuć się daje. Gdy w innych dyecezyach wypada jeden ksiądz na 500 lub 600 wiernych, to w dyecezyach polskich stosunek ten daleko jest gorszym; w archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej przypada jeden ksiądz na 1,600 wiernych, na Szlązku zaś jeden na 2,000 dusz. Ubytki te jeszcze się potęgują; w przeszłym roku umarło u nas 13-tu kapłanów, a nie wyświęcono żadnego. W tym roku już ich umarło 15 tu, a zaledwie czterech na prezbiterów przybyło. Powołań coraz mniej, utrudnienia zaś studyów gimnazjalnych i examinów dojrzałości, usuwając Polaków od korzystania z wyższego wykształcenia, zmniejszają też liczbę kwalifikujących się do studyów teologicznych kandydatów. Ztąd słuszny niepokój, aby brak miejscowego duchowieństwa nie sprowadził ku nam zalewu niemieckich księży, grożącym nam oddawnia odwiecznym krzyżackim zakusom wprzeżenia kościoła w dzieło germanizacji, czemu się dotychczas wszyscy arcybiskupi poznańscy stale opierali i bronili.

Oczywiście, obecne warunki polityczne i ekonomiczne mało sprzyjają literackim zabawom i zajęciom. Książek nowych coraz mniejszy zastęp witać nam przychodzi. Wspomniany już przez nas mówca wiecowy, ks. dr Kantecki, nie tylko jest znakomitym publicystą, lecz zarazem i wirtuozem w klasycznych językach. Zużytkował on przymusowe *otia* redaktorskie w gnieźnieńskim więzieniu, na udatne tłómaczenie poezyi chrześcijańskiego łacińskiego poety, Aur. Prudencjusza Klemensa. Wstęp i objaśnienia wzbogaciły ten piękny przekład, który się świeżo w druku ukazał.

Obecne troski zniewalają do szukania kordyła w pracy, a wytchnienia w przeszłości. Ztąd też Towarzystwo przyjaciół nauk zwiększa liczbę swych posiedzeń i odczytów. Archeologiczne mianowicie badania zdwojone przedstawiają ożywienie. Rosną i porządkują się muzealne zbiory. Do najciekawszych nabytków zaliczyć wypada urnę twarzową, znalezionej w skrzynkowym grobie w Nieświastowicach, i hełm żelazny spod Gniezna, złożony z czterech blach nitami spojonych, spiczasty, mający otwór u góry, zapewne dla zatknięcia kity. Hełm ten znawcy odnoszą do XII lub XIII wieku, a może nawet i dawniejszych czasów, na pieczęciach bowiem Bolesławów widnieją tylko płaskie hełmy, i dopiero Witold pierwszy jest przedstawiony ze spiczastym.

Jeden z najczynniejszych członków wydziału przyrodników, niedawno osiadły w Poznaniu dr Franciszek Chłapowski, pow-zeczne wywołał zajęcie i dłuższe rozprawy pełnym erudycy odczytem o najdawniejszych śladach kruszcowego górnictwa w Polsce; między innymi postawił on hipotezę, iż obranie na stolicę Gniezna i Krakowa przedewszystkiem w pierwotnych latach spowodowane zostało sąsiedztwem pokładów soli, podziśdzień w Bochni, Wieliczce i Inowrocławiu obfitością słynących. Nadzwyczaj zajmującym był też odczyt d-ra Łebńskiego na temat: *Szkic typów dzieł warownych w dawnej Polsce*. A więc najpierw owych leśnych zasieków, których śladem liczne na ziemi Wielkopolskiej Osieki, Osieczny, Przysieki czyli Przesieki. Przesiekami zwano też poręby leśne, któremi przez puszcze szły wojska, np. Bolesława Krzywoustego w wyprawie na Pomorze. Dalej mówił o warowniach okopowych czyli grodziskach, budowanych to na moczarach, to na wzgórzach. Trzecią część poświęcił zamkom drewnianym, już późniejszym, „mazanym“ gliną dla większego bezpieczeństwa od ognia, a których kształt okólny do XVII wieku przechował się na Rusi. Czwararty ustęp odczytu traktował o kościołach i klasztorach warownych, które dopiero za Henryka Brodatego zaczęto umacniać, a więc przeciwko fali tatarskiej. Etymologią *Kościola* wyprowadzają uczeni od *Castellum* czyli zamku warownego. Murowane kościoły i zamki zagaściły się w Polsce dopiero za Kazimierza Wielkiego, a więcej jeszcze za zygmunto-wskich czasów, w których włoski renesans do nas zawitał, aby nastę-

pniei zakwitnąć najpiękniejszymi Złotego Wieku pomnikami.

W końcowym dziale prelegent mówił o warowniach obozowych czyli taborach; rzecz zaś swoją zamknął wspomnieniem wprowadzenia nowej inżynierji fortyfikacyjnej przez Jana Zamoyskiego i Miasta Pruskie. A tymczasem dawniejsza metoda stawiania na kresach drewnianych fortalicjów, utrzymywanych miejscowymi służebnościami, w swoim rodzaju i w lokalnym zastosowaniu była doskonałą i nic jej prawidłowo zastąpić nie zdołało.

Zamki murowane budowano rzadziej, niesystematycznie. Rzpłitej nie stało nieraz funduszków dla ich wykończenia i utrzymania; panowie wznosili je częściej dla siebie, niż w widokach wspólnej krajowej obrony. Ztąd nic nie zastąpiło dawnego systematu, zburzonego przez postępującą wiedzę i doświadczenie.

Nastała obecnie pora koncertów przelotnych ptaków ciąg zimowy rozpoczęła u nas pani Esipow, zawsze niezrównana w klasycznej muzyce, a zimna i sztuczna, gdy się targnie na niezrozumiałego dla niej Szopena.

Rosnąca bieda wśród ubóstwa miejskiego różne też budzi miłosierne pomysły, z których pierwszym ma być bazar spożywczy, w przededniu świąt urządzonej z jałmużną *in natura*, całej prowincyi.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Saccharina. — Machina do nasycania powietrza ozonem. — Kąpiele elektryczne. — Elektryczność atmosferyczna. — Lapolinum. Masło roślinne. — Nowy bacillus (raka). — Wieża na Polu Marsowem w P. ryżu.

(Dokończenie).

W roku zeszłym odkryto całe lasy w Afryce, a mianowicie w wyższym Senegalu i nad wyższym Nigrem, których drzewa wydają pewien rodzaj masła; zowią je drzewami masłowemi (*arbre à beurre*) lub *carité*. Drzewa te podobne są do kasztanów i służą tamtejszym mieszkańcom do wielu celów. Zbierają tam owoce następnie suszą, rozbijają lupinę, a zawartość miażdżą w celu utworzenia masy. Masę tę umieszczają w naczyniach napełnionych wodą i biją. Przyczem masło występuje na powierzchnię wody. Oddzieliwszy je, poddają powtórnemu biciu dla uczynienia go gęściejszem.

Tak otrzymane masło służy tamtejszym mieszkańcom do przypraw kuchennych, do oświetlania, wyrobu mydła toaletowego i pomad. Jest ono nietatwo rozpuszczalne w cieple, co ma niepodrzedne znaczenie w tych krajach zwrotnikowych, gdzie nasze masło rozplywałoby się jak woda.

Gallieni utrzymuje, że to masło roślinne mogłoby być doskonale użytem we wszystkich krajach europejskich i przydałoby się do fabrykacyi mydła i świec.

Po obu brzegach Nigru znajdują się wielkie przestrzenie lasów, z których można dowolną ilość tego masła wydobywać.

W Afryce znajdują się również drzewa wydzielające z siebie pewien rodzaj mleka, nazywa się tam takowe *Tabayba*. Jest to napój bardzo orzeźwiający, pożywny i zdrowy. Nacięcie zrobione w korze wystarcza, aby popłynęło mleko. Również i w Ameryce Guyana angielskich posiadają podobne drzewa, które naturalisci nazwali *Hya-hya*, a zalety soku, jaki z siebie wydzielają są jeszcze owiele wyższe od tabayby.

W krajach tych, gdzie nie znajdują krów, ani kozy, podobne drzewa są prawdziwymi skarbami. Że przydałyby się u nas, przy takiej drożyznie nabiału, chyba i wspominać nie trzeba.

Bakteryologia, nauka o grzybkach pasożytniczych, z każdym dniem prawie robi nowe odkrycia, mające, zarówno w przemyśle, jak i w medycynie, kolosalne zastosowanie. Niejednokrotnie mieliśmy sposobność wspomnieć o odkryciach Pasteur'a, Kocha i innych uczonych, którym zawdzięczamy poznanie przyczyn takich chorób, jak karbunkułu, suchot, tyfusu, dyfterytu, szkarlatyny i t. p., w postaci bacillusów, t. j. grzybków, które, dostawszy się z organizmu chorego do zdrowego, wywołują w nim analogiczną chorobę. Nie podlega już wątpliwości, że grzybki te, żyją, rozmnażają się i giną, jak również, że pewne substancje zabijają je.

W ostatnich dniach wiadomości telegraficzne przyniosły nam dane o nowych zdobyczach na polu bakteriologicznem, mianowicie: prawie jednocześnie dwóch lekarzy niemieckich, jeden z Berlina, drugi z Drezna, doniosło *urbi et orbi*, że odkryli bacillus raka.

Dotąd chorobę tę uważano za nieuleczalną; nawet za pośrednictwem operacyi niezawsze można było usunąć tego straszego wroga zdrowia ludzkiego. Jeżeli tedy doniesienia owych panów okazały się prawdziwemi, jeżeli w samej rzeczy przyczyną raka jest grzybek pasożytniczy, można mieć nadzieję, że z czasem nauka wyrajdzie i truciznę zabijającą go i temsamem uchroni ludzkość od jednego z najstraszniejszych cierpień.

* * *

Prawdziwym cudem sztuki budowniczej będzie wieża, którą zamierzają wznieść Francuzi na Polu Marsowem w czasie odbyć się tam mającej wystawy powszechnej w roku 1889. Wysokość jej ma dosięgać 300 metrów. Wieża na kościele S-go Stefana w Wiedniu dosięga 138 metrów, katedra kolońska 159, widzimy więc, że wieża na Polu Marsowem będzie bezmała dwa razy tak wysoką i bez przesady można powiedzieć, że sięgnie obłoków.

Na pierwszym piętrze, 60 metrów nad ziemią, urządzoną będzie galerja o powierzchni 4,200 metrów, wraz z balkonami, urządzone tu będą kawiarnie, restauracye, sale przyjęcia i t. p. Na drugim piętrze, 150 metrów nad ziemią, urządzona będzie sala oszklona o przestrzeni zajmującej 30 metrów. Wierzchołek gmachu stanowić będzie kopułę z balkonami zajmującą 60 metrów przestrzeni, z kądem widzieć można będzie panoramę na przestrzeni 100 kilometrów.

Windy będą zwiedzających wciągać na samą górę. W jaki sposób zostaną zbudowane, jeszcze nie zdecydowano; lecz można sobie wyobrazić, jakiej siły potrzeba będzie, aby pewną liczbę ludzi na raz wwindować na tak kolosalną wysokość. Szybkość, z jaką windy będą się poruszać (będzie ich kilka), ma wynosić prawie metr na sekundę, tak, że na wzniesienie się potrzeba będzie 6 do 7 minut. Prócz wind na pierwsze piętro, prowadzić będą schody, dla tych, którzy nie zleknią się przebyć po nich 60 metrów wysokości.

Opór, jaki wieża ma stawiać sile wiatru obliczono na 300 kilogramów; najsilniejsze burze obserwowane w Paryżu nie przekroczyły nigdy 150 kilogramów na jeden metr kwadratowy. Obawiano się, że wieża ta ściągać będzie nad Pole Marsowe częste pioruny i że skutkiem tego okoliczne budynki będą w ciągłym niebezpieczeństwie. Tymczasem rzecz ma się wprost przeciwnie: wieża opatrzona w konduktory stanie się skutkiem tego piorunochronem dla wszystkich budynków na Polu Marsowem.

A teraz pytanie: jaką korzyść, prócz po wyższej, przedstawi wieża, której zbudowanie kosztować będzie około 7,000,000 franków? Żadnej, naturalnie, prócz tej, że pokaże, iż Francya może sobie na podobny zbytek pozwolić!

J. S.

* * *

Kronika działalności kobiecej.

— Ważną wewnętrzną sprawą naszą w zakresie wychowania było zakładanie ochronek wiejskich, w celu uchronienia dzieci włościan od smutnych wypadków okaleczeń, a nawet często śmierci okrutnej przez ogień lub wodę, w czasie, gdy rodzice i wogóle ludność dorosła, udając się w pole na robotę, zostawiała je w chatkach samotnie. Władze rządowe zostawiły gminom wolność zakładania ochronek takich i skoro tylko ogłoszonym to zostało, pismo nasze odezwało się do pań wiejskich, a szczególnie do młodych panien, niekrępowanych żadną pracą obowiązkową, aby sięjęły tego chrześcijańskiego dzieła miłości bliźniego i zarazem spełniły dobry czyn obywatelski, wchodzący właśnie w zakres pracy kobiecej. Podobnie upominał się o to, i niejednokrotnie, *Korrespondent Płocki*. Niewątpliwie w tym samym celu *Gazeta Lubelska* prowadziła jakoby kronikę bolesnych wypadków topienia się, palenia, pożerania przez świnię opuszczonych tych dzieci; pismo nasze podnosiło zawsze te rzeczy straszne, powtarzając je, zatem uwaga mogła zostać zwróconą na przedmiot.

Była sposobność — sposobność nietrudna, niecieężka — czynnego dowiedzenia dobroci serca kobiety naszej i tych jej uczuć szlachetnych, z których ma dotąd chlubę przed światem. Ale na ten raz nie dopisały one, te uczucia święte, ta miłość gorąca rzeczy ogólnej. Okazało się wprawdzie trochę usiłowań pojedynczych, ale liczba ich nie była wystarczającą, i oto dzienniki donoszą, że w skutek braku prywatniej inicjatywy gmin wydany zostanie nakaz rządowy przymusowego zakładania ochronek wiejskich, w formie gromadzenia dziatek samotnej codzien w innej chacie, gdzieby gospodyni miejscowa, lub umocowana przez nią zastępczyni, spełniała dozór nad powierzoną sobie rzeszą. Zarząd gminy obowiązany zostanie do urządzenia tej kolei, a Straż Ziemską ma dopilnować wykonania.

— Ale ta obowiązkowa ochroniarka wiejska, co dzień inna, musi być z konieczności kobietą prostą i nieoświeconą; przecież może stanąć przy jej boku pomocnica z wyższym pedagogicznym wykształceniem, z wyższą edukacyjną zdolnością, a jakkolwiek niema tu jeszcze mowy o nauce właściwej, może jednak być ten już dobry i coś znaczący kierunek wychowawczy: rozbudzenie umysłu, wprowadzenie w niego tych wszystkich pierwszych pojęć moralnych, które stawiają grunt dla przyszłości. Ze ta praca uczciwa i jedynąca tej, co ją podejmie, część u ludzi i zasługę obywatelską, chrześcijańską — dowodzić nie trzeba.

— Zofia Krajewska zapisała ostatnią swą wolę 1,335 rs. na budowę kościoła na Pradze.

— Na wystawę szkieł nadesłało prace swoje dwadzieścia jeden malarek: Andriolowa, Bierkowska Karolina i Bierkowska Leonia, Bobińska Jadwiga z Gersonów, Bardzka, Bondówna Helena i Bondówna Janina, Czaińska, Dębowska, Dukszyńska, Kanigowska, Kotarbińska, Kuczyńska, Łysińska, Löwenberg, Michniewiczowa, Miniewska, Niewiadomska, Romanówna, Ryszkiewiczowa, Szmurłówna, hr. Marya Walewska.

— W Krakowskim Muzeum techniczno-przemysłowym Dr. Baranieckiego rozpoczęte zostały wykłady doroczne dla kobiet: Na wydziale historyczno-literackim wykładają stale: literaturę

polską i estetykę prof. Ziembą; literaturę powszechną Gustaw Ehrenberg; historią polską prof. Lewicki; historią powszechną Dr. Sokółowski; pedagogikę Niziol. Na wydziale przyrodniczym wykładają stale: astronomią Dr. Wierzbicki; mineralogią i geologią prof. Szajnocha; zoologią Dr. Jaworowski; botanikę prof. Rostafiński; fizykę Dr. Tomaszewski; chemią prof. Bandrowski; higienę prof. Grabowski. Nadto przedmioty niestałe wykładają: prof. Dembiński, Dubiecki Maryan, Bylicki, prof. Malinowski. Prof. Łuszczkiewicz wyklada: „O harmonii barw ze szczególnem uwzględnieniem zajęć kobiecych.” Na wydziale sztuk pięknych udzielana jest nauka perspektywy, historia sztuki, technika artystyczna, teoria ornamentyki. Nauka rysunku udzielana jest w pięciu oddziałach z uwzględnieniem kompozycyi, rzeźbiarstwa i drzeworytnictwa. Główny kierunek nad wydziałem sztuk pięknych jest zawsze w ręku Matejki.

Obok tego istnieje tu jeszcze wydział handlowy i wydział gospodarski, oraz kursa języków nowożytnych.

— W Peszcie wychodząca w języku francuskim „Gazette de Hongrie“ zamieściła, bardzo szlachetnie skreślony obraz Polki: Daryuszowej Poniatowskiej z domu Iwanowskiej, stryjskiej siostry księżny Wittgensteinowej. Poniatowska przedstawiona tam jest, zgodnie z prawdą, jako wysoce szlachetna i rozumna, niepospolitego umysłu kobieta: „jedna z najwyższych naukowo wykształconych kobiet naszego stulecia.” Dotknięta chorobą piersiową musiała, aby żyć, szukać sobie cieplejszego nieba i przemieszkiwała we Włoszech, lub we Francji Południowej. Za życia jeszcze wydała obszerny, bardzo we Francji rozgłoszone dzieło treści filozoficzno religijnej: „Wielki Katechizm“, ale, skromna, nie położyła na niem swego nazwiska. Kilkanaście dzieł, też treści filozoficznej oddała przed śmiercią w ręce zgromadzenia polskich księży Zmartwychwstańców, z których tylko część pewna została drukiem ogłoszona. Pod swoim już nazwiskiem drukowała w Paryżu w 1861 r., obszerną pracę historyczno-etnograficzną „Orgines Slaves.“ Dzieło również obszerny: „Dzieje Bolesława Wstydliwego“ wydał w Paryżu już po jej śmierci Bohdan Zaleski. Umarła w Hyères 1878 r.

— Doroczne zebranie *Stowarzyszenia Gospodyń Niemieckich* dla rozdania nagród uczciwym i przez lat wiele w jednej rodzinie pozostającym sługom, odbył się w Berlinie d. 20 Listopada pod przewodnictwem Liny Morgenstern. Nagrodzonych, pochodzących z różnych stron Niemiec, było 18, z tych jedna tylko, mająca za sobą służbę w jednej rodzinie lat 37, Róża Kolb z Augsburga, nie stawiała się osobiście. Było między nagrodzonymi dwie, liczące służby w wymienionych warunkach po lat 25, dwie po lat 23, jedna lat 18, jedna 17, 15, i tak dalej, aż do lat pięciu. Nagrody przyznawane są: za czas poczynając od lat 5 do 15: ozdobnie litografowany dyplom za usługi i złota brosza z napisem: „Za uczciwą pracę“; książka do nabożeństwa według wyznania nagradzanej, pięknie oprawna w safian, a u której, poczynając od 10 skończonych lat służby, znajdują się grawirowana klamra srebrna. Poczynając od lat 15 do 25, dodaje się jeszcze do tego książeczkę kassy oszczędności z zapisanemi w niej 10 markami; od lat 25 do 30 książeczkę z 20 markami. Daj nam Boże, jakieś podobne stowarzyszenie gospodyń polskich.

— Wysłał w Berlinie wyciągi ze sprawozdań inspektorów fabrycznych przedstawiają smutne postępy w pracy dzieci i kobiet. Przyrost fabrycznej pracy kobiet zwiększył się znacznie od r. 1884, do 1886 r., powiększenie to pracy robo-

tnic jest 7—8%. W przędzalniach i tkalniach kobiety stanowią połowę siły roboczej, a nawet w pewnych okolicach na Szlązku (Pruskim) kobiety stanowią tam 56% ogółu pracującego, w Saxonii 64%, w Czarnym Lesie 75% w obu księstwach Reuss nieszczęsny ten stosunek dochodzi do 90%. Wiemy dlaczego się to dzieje: właściciele fabryk nie chcą droższej pracy mężkiej i odmawiając przyjęcia mężów, ojców, braci, skazanych na bezczynność, zmuszają biedne kobiety, dziewczęta i mężatki, do tej pracy pozadomowej, nienaturalnej i pod wszelakim względem najgubniejszej dla ogólnego stanu zdrowotności i moralności, bo jeszcze dodać tu trzeba, że drapieżna chciwość fabrykantów wciąga do tej pracy coraz większą ilość dziewcząt małoletnich, poczynając od lat 12, które są przyjmowane chętniej nawet od czternastoletnich, z powodu, że płaci się im niżej. Aby mieć dla córek zapewnione miejsce w fabryce, nieszczęśliwi rodzice nawet bez koniecznej potrzeby oddają tam dwunastoletnie.

Potęguje się to najbardziej w fabrykach cygar, lecz wszędzie jednakowo stan ten sprowadza najniebezpieczniejsze następstwa i grozi, przez wpływ na przyszłe matki, skarleniem, przedzieleniem ostatnim następnym pokoleń. Sprawozdania wykazują, że kobiety są nawet używane w górnictwie i w przemyśle żelaznym; inspektor okręgu düsseldorfskiego liczbami dowodzi, że ogólnie we wszystkich gałęziach prac fabrycznych znacznie większy jest procent chorujących kobiet, niż mężczyzn. Kobiety ulegają liczniej chorobom czasowym i chronicznym, zwłaszcza tam, gdzie niema dostatecznej wentylacji. Nerwowość zwiększa się już u wszystkich i wszędzie.

Okaleczeń, chorób i śmierci z wypadków nieszczęśliwych, jest za to mniej między kobietami, bo ostroźniejsze są i mniej śmiałe. Jest przylem i jedna jeszcze różnica z moralnego źródła płynąca. Inspektor saskiego okręgu Plauen pisze, że są one wogóle mniej wymagające, cicho znoszą różne przykrości, zadawalniają się pracą, wystarczającą na jakie takie utrzymanie, ale za to, jeżeli tylko mogą wyżyć z zarobku swojego, sprzeciwiają się energicznie nawet podwyższeniu pensyi, jeżeli to ma sprowadzić przedłużenie godzin roboty. Ów inspektor saski, opierając się na znajomości robotnicy, zdobytej przez doświadczenie, widzi w tem charakterystyczny rys kobiecości — kobiecego uczucia, niezatraczonego nawet wśród tak bardzo nieprzyjajnych dlań warunków życia. Robotnica kocha dom, od którego odrywa ją przemowna siła konieczności życiowej, kocha domowe swe ognisko, poczuwa się zawsze do obowiązków, które łączą z niem kobietę, ma niewygasłe nigdy w jej sercu miłość rodziny, tkliwość uczuć córki, żony, matki: i dla tego pragnie nieprzepracować jakiejś, choć krótkiej chwili, w którejby mogła żyć według uczuciowych swych potrzeb, instynktów kobiecej natury. Owe wyciągi ze sprawozdań niemieckich inspektorów fabrycznych, są to najsmutniejsze pod słońcem dramata — dramata nowoczesnej cywilizacji materyjalnej.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca**, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Z cyklu „Nad głębiami”, poezya, przez El-y’ego. — Z życia o życiu, napisał Moestus. — Filistry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Książki dla młodzieży i dzieci, (dalszy ciąg). — Irlandczyk u siebie, (dalszy ciąg) — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. Z działu przyrody, (dokończenie). — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca**, przez Maryana Crawford — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robot z opisem. — Sekretu gospodarskie. — Dyspozytę stołu.

Przegląd mód.

Co moda zdecydowała? — Fasony futer. — Gorsety. — Układ sukien w witrynie pana Hersgo. — Nowa pierwszorzędna pracownia pani Fanny. — Haftowane suknie u pani Bobrowskiej. — Wyprzedająca się fabryka kwiatów. — Zabawki i nowe lalki przedstawiające baletniczki cyrkowe.

Cechą mody sezonu zimowego, są suknie zwane „robes-rondes“ są dłuższe; bardzo małe turniury, lub wcale nie. Zupełnie zarzucono owe kostiumy krótkie, z tyłu draperye są długie i skromne, staniki po większej części w połączeniu z tiunika, czyli w rodzaju *vetement*. Żakietki czy to grube, ciepłe, do wyjścia na ulicę, czy lżejsze do pokoju, wpadają do figury, ale nie są zupełnie wcięte, zwane „pół-wcinane“, lub z przodami luźnymi. Moda ta jest praktyczną, gdyż na zimę uznano pół wcinane paltoty za praktyczniejsze, skoro pod nie można włożyć ciepłą chusteczkę. Na futra coraz więcej wchodzi w użycie długie rotundy, ale nie te owe rotundy szerokie, nie wygodne i łatwe do zaziębienia się za najmniejszym użyciem rąk, ale węższe, z otworami na ręce i wpuszczonemi małemi rękawkami, tak, iż przody zapięte na guziki od góry do dołu, zabezpieczają zupełnie piersi. Dla starszych osób zawsze paltoty z rękawami idącymi od pleców dołmanowe są najwygodniejsze i najcieplejsze — naprzykład na lisy nie możliwy jest inny fason.

Suknie, czyli staniki do sukien robią się o jednej, bardzo wysoko zachodzącej zaszewce, co wymaga i odrębnego gorsetu, czyli przynajmniej gorsetu wyborowego fasonu, jak na przykład z fabryki pod firmą „Marie“, róg Niecałej, dom hr. Krasińskiego. Nie słyhać już obecnie o owych paryzkich gorsetach, sprowadzanych dawniej przez pierwsze magazyny nasze dla pierwszych elegantek, dziś to do przeszłości należy i na miejscu pracownica wyszła z dobrej szkoły, robi podług modelu paryzkiego, z materiału paryzkiego, podług dawnej miary, to gorset musi być zgrabniejszy i wygodniejszy, jak owe dobiegane. Główną zaletą gorsetów wspomnianej firmy, jest, że nigdy z formy nie wychodzą, a są bardzo wygodne, nigdy nie uciśkają, co przypisać trzeba wyborem francuzkim i takimże krojowi. Co do sukien oprócz podawanych w piśmie naszym wzorów, można się dowiedzieć, co jest modnem i jak wdzięcznie według tych mód ubiór sobie urządzić, pomogą widziane w oknach magazynu p. Herzego wystawiane modele. Tu można powziąć wyobrażenie o modnem w bieżącej chwili łączeniu materiałów, nie pomijając przytem i dobrego gustu. Kto zaś sam sobie radzić nie może, niech się uda do nowo założonej pracowni sukien pani „Fanny“, przy ulicy Wareckiej Nr 9, a mieszkania 20. Przewodnicząca osoba, inteligentna, uczyła się lat parę

kroju w Paryżu, w sławnym magazynie p. Bailly, znanym z wysyłanych na świat cały modeli, za które otrzymała medal złoty na wystawie. Pracując niegdyś w takim zakładzie i zajmując się osobiście krojem każdego stanika, p. „Fanny“ odpowiedzieć może najwybredniejszemu smakowi, to też suknie, któreśmy tam oglądali zasługują na wyszczególnienie.

Suknie najstrojniejsze zdobią obecnie haftem, wstążkami, zawsze koronkami i jakąś odmienną materią, czyli też pluszem. W haftarni p. Bobrowskiej, ulica Wierzbowa, 2, widzieliśmy suknię wełnianą, stalowo-popielatą, haftowaną srebrną nitką i brązowym jedwabiem, ścięciem „mousse“, wypukły, niby sznela, w śliczne gustowne kwiaty — dwa boki, kamizelka, rękawy. Druga suknia jedwabna w pasy, była haftowana na ciemniejszej materii, całym cieniem brązowych kwiatów łańcuszkowym ścięciem, w domu rzeczywiście suknia tak wypracowana, wymaga wiele czasu, ale p. Bobrowska, mając stosowne maszyny i wzory, haftuje taką suknię bardzo szybko i w porównaniu pracy bardzo tanio.

Przy zbliżającym się karnawale, należy coś wspomnieć o kwiatkach, które nigdy z mody wyjść nie mogą, ale zostawiam to sobie do przyszłego przeglądu, dziś zaś zaznaczyć muszę, bardzo ważną dla oszczędnych pań, nie rozporządzających wielkimi funduszami wiadomość, że pani Sempołowska, której kwiaty miały tak słusne uznanie, z powodu prywatnych okoliczności, związa swą fabrykę istniejącą przy ulicy S-to Krzyskiej, 17, więc niezliczone pudła kwiatów nabywać można, jak to mówią „na w pół darmo“ — ale co więcej, pani Sempołowska związując fabry-

kę, chce zbyć wszelkie przyrządy, żelazka, słowem wszystko, co istotnie stanowi fabrykę kwiatów, a że tyle pań kształci się zawsze w tym kierunku, więc może której wygodziemy, podając taką ważną wiadomość.

Jeszcze słówko ze sfery praktycznej — przy zbliżającej się gwiazdce, matki chciałyby jak najtańszym kosztem zadowolnić swe gagatki i za najmniejszą kwotę, zebrać jak najwięcej zabawek. Otóż p. Roszkowska, Niecała Nr 12, rozszerzyła o wiele zakres swego handlu zabawkami i lalkami, zabawki wszelkiego rodzaju — nie wiedzieć co wybrać, od wózków i powozów, do najmniejszej trąbki, ale lalki, krakowianki, górale w kubrakach z baranków i t. p., są rzeczywiście bardzo zajmujące. Spotkaliśmy tam nowość zupełną: lalki tańczące — za pomocą umieszczonych na dwóch końcach sznurka pierścionków, lalka papierowa ubrana w gazę, jak baletniczka tańczy w takt po muzyce fortepianowej taniec, jaki jej grają, a cała ta oryginalna zabawka, kosztuje 75 kop. Można powiedzieć, że w ogóle wszystkie zabawki u p. Roszkowskiej są tanie, bo też obecne położenie finansowe zmusza niejako do tego, co drugostronnie zaliczyć trzeba do kwestyi pedagogicznych. Lalki drogie, są to lalki wytworne strojne, więc psujące dziewczynkę, która je dostaje i to nawet wtedy, gdy jest najmajątniejszą, bo nie o sam koszt chodzi, występującym przeciw strojnictwu, od którego bronić pragnie przynajmniej wiek młody. Można się i pięknie i elegancko ubierać, kto ma na to, ale trzeba prócz tego coś innego jeszcze mieć w umyśle i sercu, więc dziewczynkom nie można zbyt wcześnie wprowadzać w umysł zajęcia się strojami, bo wtedy zwykle wszystko inne na stronę się usuwa i myśl zajęta strojami w nich tonie, ze szkodą dla umysłowego i moralnego rozwoju.

L. C.

Ubranie lalki.

Rycina Nr 17 i 19 w Bl. Nr 49. Krój odwr. str. tabl. Nr V, fig. 28—32.

Lalka ubrana w koszulkę, majteczki, spódniczkę flanelkową i z szyrtyngu, w sukienkę, oraz w kapelusz z muślinu wełnianego w deseń, w niebieskie pończoszki i trzewiczki z złoczonej brązowej skórki. Koszulkę ryc. 23 wykonać podług kroju fig. 70 i 71. Majteczki ryc. 15 podług kroju fig. 63, spódniczkę zaś flanelową ryc. 16, podług fig. 69. Spódniczka z szyrtyngu, 21 c. długa, a 90 c. szeroka, obszyta w dole haftowanym szlakiem, w górze zaś przeciągnięta tasiemką. Sukienkę z muślinu wełnianego w różnokolorowy deseń, ukroić podług fig. 28 jedną część, a podług fig. 31 po dwie części złożone wzdłuż środka; podług fig. 30 plecy. Z podszewki zaś podług fig. 29 dwie części, a podług fig. 32 mankiety z białoniebieskiego atlasu, fig. 28 i 32 zaopatrzyć podszewką. Przednią



Nr 1. Suknia wizytowa z atlasu „duchesse“. Przód. (Do r. 12).

Nr 2. Suknia wieczorowa z moy i koronki. Przód. (Do r. 13).



Nr 12. Suknia wizytowa z atlasu „duchesse”. Plecy. (Do ryc. 1).

szerekim, haftowanym złotymi perełkami i niemi metalowemi. Krótki stanik przybrany kolnierzem aksamitnym i haftowanemi wylogami, oraz rodzajem napierśnika z biało niebieskiej krepy, haftowanej złotymi perełkami.

Suknia wizytowa z mory i koronki.

Rycina Nr 2 i 13.

Spódnica z mory koloru „mauve”, naszyta u dołu materyą tegoż koloru i tak na zewnątrz, jak na wewnątrz otoczona marszczoną, wyciętą w zęby falbanką. Oprócz tego dół sukni ozdobiony riuszą z podwójnie złożonej mory 9 c. szerokiej, ułożonej w kontrafaldy. Koronka biała 107 cent. wysoka, a 370 cent. długa, ułożona w faldy, zdobi przód podług ryciny. Tylnie upięcie składa się z mory 115 c. wysokie, a 290 cent. obwodu, z szerokim obrębem u dołu, podszyte po bokach jedwabnym materyalem tegoż koloru, mniej więcej 27 cent. Pukle z morowej stażki zdobią suknię podług ryciny. Staniczek krótki z bawetem wycięty „en coeur”, po lewej stronie zaopatrzony w haczyki i haftki do zapinania, ozdobiony koronką marszczoną, oraz wstążką. Rękawki pół-długie.

Dwa staniki do strojnych sukien.

Rycina Nr 14 i 15.

Ryc. 14. Stanik z ciemno-niebieskiego aksamitu, może być noszony do spódnicy z materyalu jedwabnego w jaśniejszym niebieskim kolorze. Rodzaj napierśnika z żabotem i rękawy koronkowe koloru kremowego, oraz kokardy z niebieskiej repsowej wstążki, uzupełniają całość.

Ryc. 15. Stanik z ciemno-pąsowego „satin-merveil-

część ubrać wzdłuż dwóch gładkich linii marszczonym atlasem, tylną zaś część podług wzoru ułożyć w faldy. Połączyć plecy i przody podług liczb, przyszyć spódniczkę 15½ c. długą, a 142 c. szer. na muslinie i ozdobić atlasem 3 c. szeroka, a u góry ułożyć w kontrafaldy. Rękawy zmarszczyć od środka do *, połączyć z mankietami od liczby 58 do 59 zeszyć od liczby 60 do 61 i wszysy w stanik, trafiając liczbą 61 na liczbę 61 pleców. Przód lewej strony napierśnika ozdobić wzdłuż płąsą atlasową na 1 cent. szeroka i guzikami. Prawą zaś stronę podług ryciny kokardami atlasowemi 2 i 4 cent. szerokiemi. Mankiety obszyć koronką, a sukienkę zaopatrzony w haftki i koniki. Kapelusik wełniany niebieski, podszyty takimiż atlasem, ozdobiony riuszą z koronki, puklami z wstążki 2 cent. szer., oraz szarfami do wiązania 2 c. szer.

Suknia wizytowa z „satin-duchesse”.

Rycina Nr 1.

Spódnica 216 cent. obwodu w dole mająca, z jedwabiu koloru zielonego mchu, otoczona u dołu jak na zewnątrz tak wewnątrz falbanką plisowaną, 6 c. szeroka. Prawą stronę zdobiją dwie klapy z zielonego aksamitu, 30 cent. szeroko, połączone ze sobą za pomocą falbany z zielonego atlasu, ułożonego w faldy. Lewa strona ozdobiona wylogiem aksamitnym, 40 c.

szerekim, haftowanym złotymi perełkami i niemi metalowemi. Krótki stanik przybrany kolnierzem aksamitnym i haftowanemi wylogami, oraz rodzajem napierśnika z biało niebieskiej krepy, haftowanej złotymi perełkami.

szerekim, haftowanym złotymi perełkami i niemi metalowemi. Krótki stanik przybrany kolnierzem aksamitnym i haftowanemi wylogami, oraz rodzajem napierśnika z biało niebieskiej krepy, haftowanej złotymi perełkami.



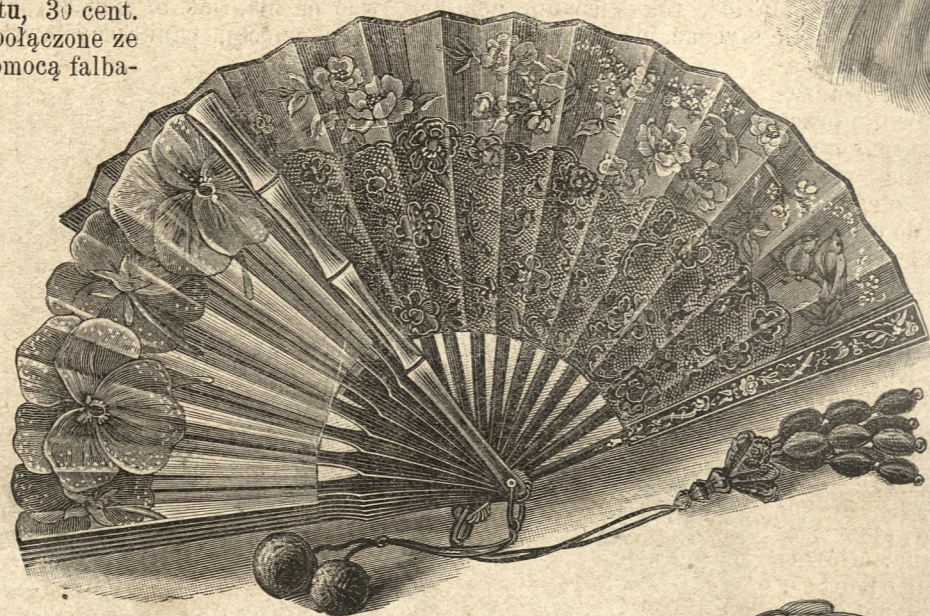
Nr 14. Stanik do strojnej sukni.



Nr 3. Bukiet do balowej sukni.



Nr 5. Egretka do kapelusza.



Nr 8 i 9. Wachlarze.



Nr 7. Bluzka dla panienki od 12 do 14 lat. Krój i opis d.wr. str. tabl. Nr X, fig. 48-53.

leux”, ozdobiony żółtą koronką i ciemno-pąsową pasmanteryą podług ryciny.



Nr 4. Bukiet do balowej sukni.



Nr 6. Egretka do kapeluszy.



Nr 10 i 11. Wachlarze.



Nr 17. Kapelusz z aksamitu i wełnianego materyalu.

Nr 16. Kapelusz aksamitny. Nr 11. Egretka z piór do kapelusza.

Nr 18. Kapelusz z aksamitu i filcu.

Kapelusze zimowe i egretka do nich.

Rycina Nr 16-19.

Ryc. 16. Kapelusz aksamitny. Na forence z petynety ułożyć w faldy po lewej stronie denka ukośny pas aksamitu koloru oliwkowego i umocować takowy z prawej strony, za pomocą metalowej sprzączki przeprowadzić w górę i na środku rondka na przodzie, ułożyć w zgrabny fufik. Wązki przedział na samym środku, ubrać z prawej strony ukosem aksamitnym, ułożonym w faldy, umocować i przepiąć aksamitem podwójnie złożonym, z lewej zaś strony środka również z podwójnie złożonego aksamitu ułożyć ku górze zwrócony pufik, z tyłu ułożyć w faldy, a części boczne pokryć gładko aksamitem i ozdobić takowe płasko piórami. Po lewej stronie wpiąć kokardę ze wstążki morowej oliwkowej, takąż wstążką w faldy otoczyć denko, a w dole rondko umocować do wiązania.

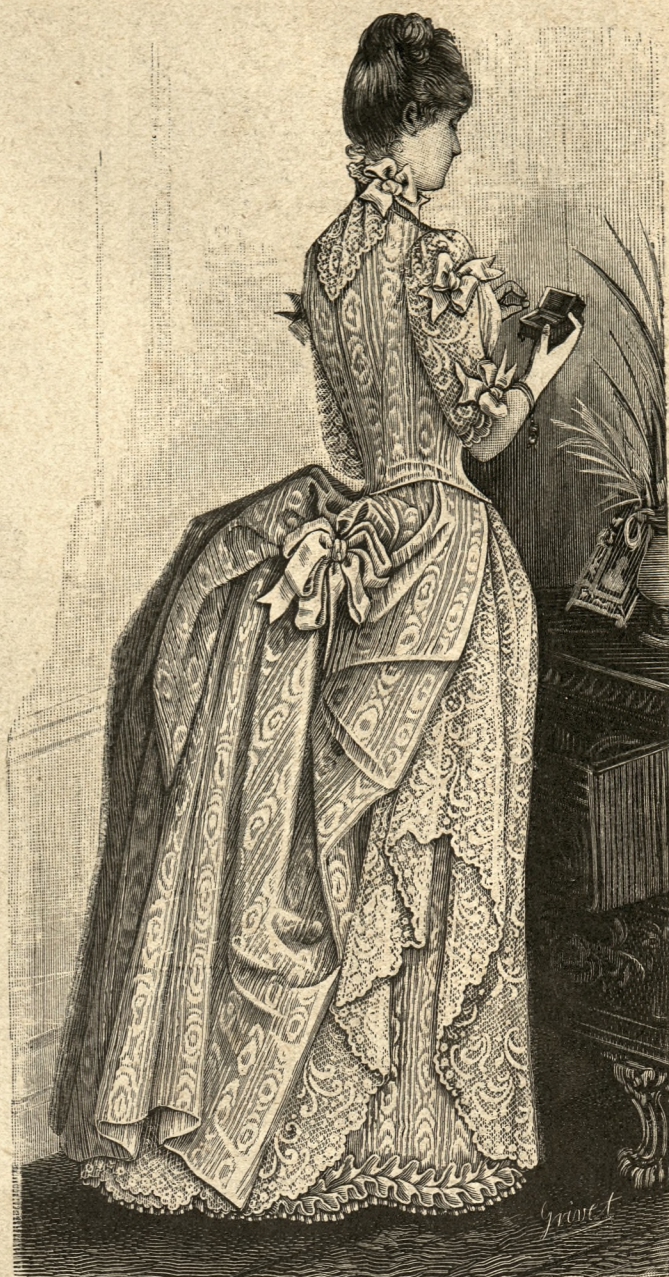
Ryc. 17. Kapelusz z aksamitu i materyalu wełnianego. Rondko 10½ c. z przodu, a 4 c. z tyłu szerokie, pokryte na zewnątrz gładko brązowym aksamitem, na wewnątrz zaś również gładko tegoż koloru materyalem.

Brzeg przybrany wązką pasmanteryą ze szneli i brązowych perełek. Głównym wianym materyalem wełnianym, również haftowanym wianym sznela i perełkami brązowemi podszyte muslinem, objęte drucikiem i trochę w okrag skrajane. Górna część aksamitu, wysoko w faldy ułożona, tworzy faldzisty puf, ozdobiony z lewej strony dwoma strusimi piórami, skierowanemi ku przodowi, oprócz tego po lewej stronie, kokarda z wstążki 7 c.

Ryc. 18. Kapelusz z aksamitu i filcu. Kapelusz aksamitny popielaty w rodzaju tocza z wązkiem rondkiem, obłożony aksamitem. Główna miękka wycynana w ząbki, z tyłu ułożonym płasko, a w środku górnego brzegu w trzy kontrafaldy wysoko podniesione, z których środkowa wygięta jest za pomocą drucika. Kokarda z repsowej wstążki, 9 cent. szerokiej, ułożona w pukle i końce, z których mniejsze zachodzą nieco w środkowe faldy, uzupełnia kapelusz.

Ryc. 18. Kapelusz z aksamitu i filcu. Kapelusz aksamitny popielaty w rodzaju tocza z wązkiem rondkiem, obłożony aksamitem. Główna miękka wycynana w ząbki, z tyłu ułożonym płasko, a w środku górnego brzegu w trzy kontrafaldy wysoko podniesione, z których środkowa wygięta jest za pomocą drucika. Kokarda z repsowej wstążki, 9 cent. szerokiej, ułożona w pukle i końce, z których mniejsze zachodzą nieco w środkowe faldy, uzupełnia kapelusz.

Ryc. 18. Kapelusz z aksamitu i filcu. Kapelusz aksamitny popielaty w rodzaju tocza z wązkiem rondkiem, obłożony aksamitem. Główna miękka wycynana w ząbki, z tyłu ułożonym płasko, a w środku górnego brzegu w trzy kontrafaldy wysoko podniesione, z których środkowa wygięta jest za pomocą drucika. Kokarda z repsowej wstążki, 9 cent. szerokiej, ułożona w pukle i końce, z których mniejsze zachodzą nieco w środkowe faldy, uzupełnia kapelusz.



Nr 13. Suknia wieczorowa z mory i koronki. Plecy. (Do ryc. 2).

szerekim, haftowanym złotymi perełkami i niemi metalowemi. Krótki stanik przybrany kolnierzem aksamitnym i haftowanemi wylogami, oraz rodzajem napierśnika z biało niebieskiej krepy, haftowanej złotymi perełkami.

szerekim, haftowanym złotymi perełkami i niemi metalowemi. Krótki stanik przybrany kolnierzem aksamitnym i haftowanemi wylogami, oraz rodzajem napierśnika z biało niebieskiej krepy, haftowanej złotymi perełkami.

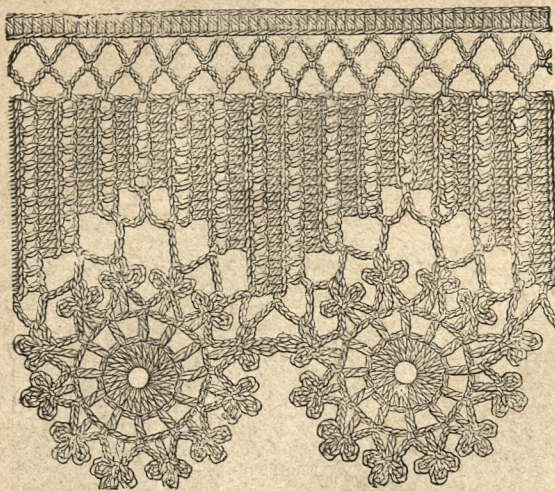
szerekim, haftowanym złotymi perełkami i niemi metalowemi. Krótki stanik przybrany kolnierzem aksamitnym i haftowanemi wylogami, oraz rodzajem napierśnika z biało niebieskiej krepy, haftowanej złotymi perełkami.

Suknia sukienka ozdobiona sutaszem.

Rycina Nr 24 Krój pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 72-82

Spódnica z brązowego kamlotu, 216 c. szeroka, objęta u dołu tegoż koloru sukniem, 6 c. szeroko i otoczona takąż wązką falbanką plisowaną. Pokrywa ją wysoka falbana, w górze zmarszczona, z tyłu na 33 c. wysoka, a 308 c. obwodu, z przodu położona gładko, a z prawego

Nr 15. Stanik do strojnej sukni.



Nr 21 Koronka robotą szydełkową.

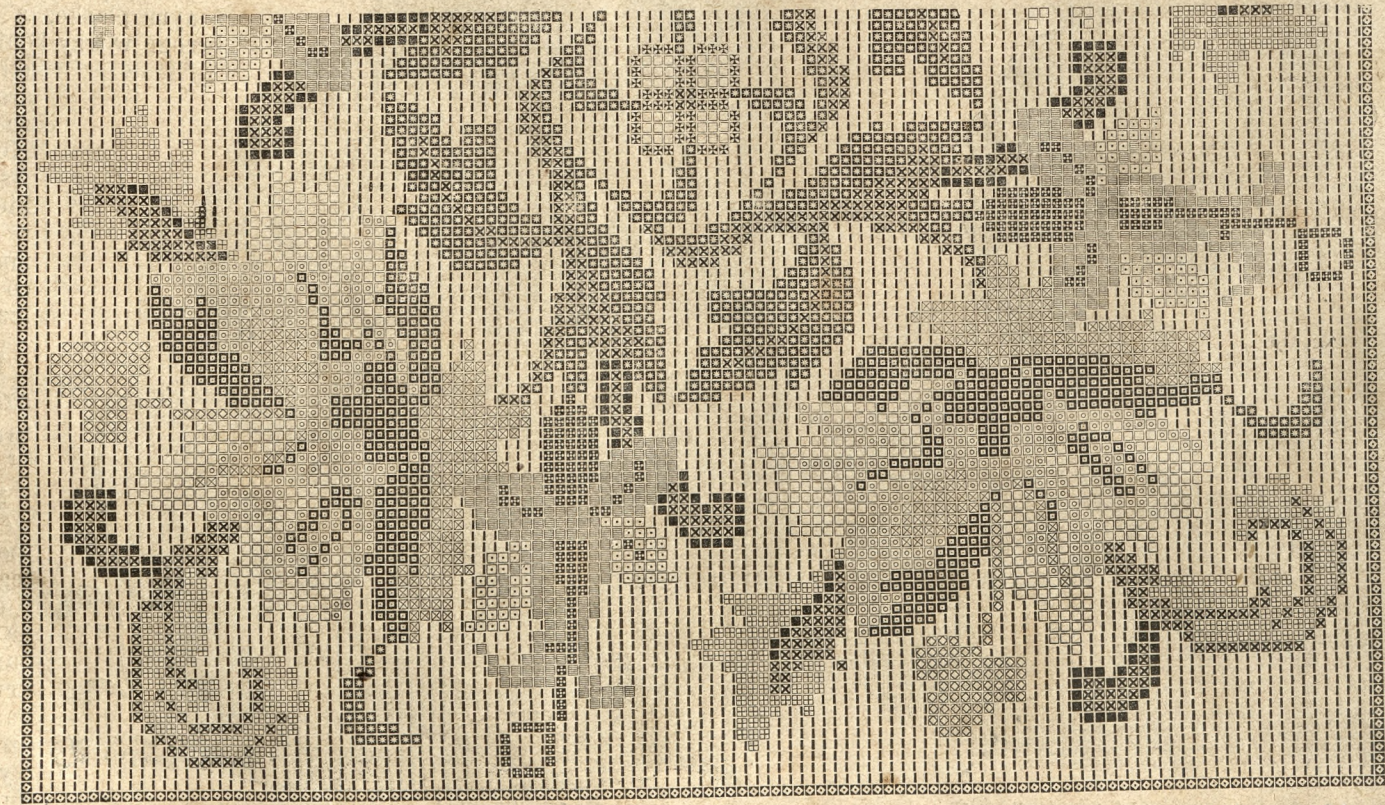
boku ułożona w 3 fałdy, każda 8 c. szer.; bok prawy i lewy ozdobiony sutaszem. Tiunikę ukroić z brązowego sukna, podług fig. 72 i 73 25 razy zmniejszonej, po jednej części, fig. 73 złożona wzdłuż środka. Liczby w konturach dają wielkość części, liczby zaś wewnątrz, w kierunku od a do b miejsca znaków i liczb, znajdujące się zaś wewnątrz konturów, służą do łączenia części.



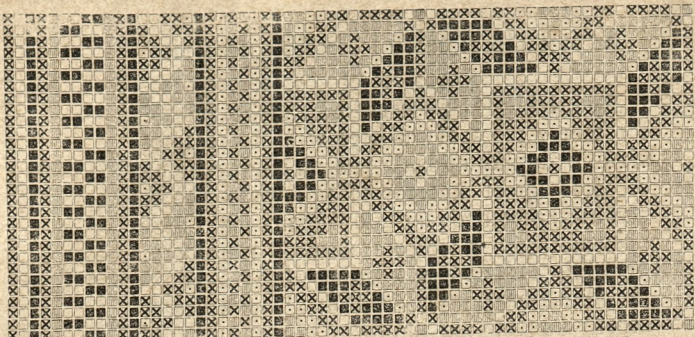
Nr 24. Suknia z sukna ozdobiona sutaszem. Plecy. (Do r. 4 w Bl. Nr 49).

Wykonać w części przedniej, podług ryciny fałdy na biodrach, składając każdy \dagger z kropką. Przyszyć fig. 73 do górnego brzegu od liczby 73 do 74, trafiając jedno z drugim w 74 tak, aby utworzyć dwa spiczaste końce, umocować $\dagger b$ na kropkę b, oraz $\dagger c$ na kropkę c. Przyszyć przednią część w górnym brzegu i po bokach do spódnicy tak, aby prawy brzeg zasłonięty był pierwszą fałdą. Tylną tiunikę ułożyć tak, aby przechodziła trochę trzecią fałdę tylną na biodrach. Połączyć ze spódnicą w pasek podwójny zapięty na haftki, po lewej stronie w miejscu oznaczonym liczbą 71. Stanik ukroić z sukna i podszewki, podług fig. 78, po dopełnieniu złożonych figur, podług fig. 74 — 78, 80 i 81 po dwie części, podług fig.

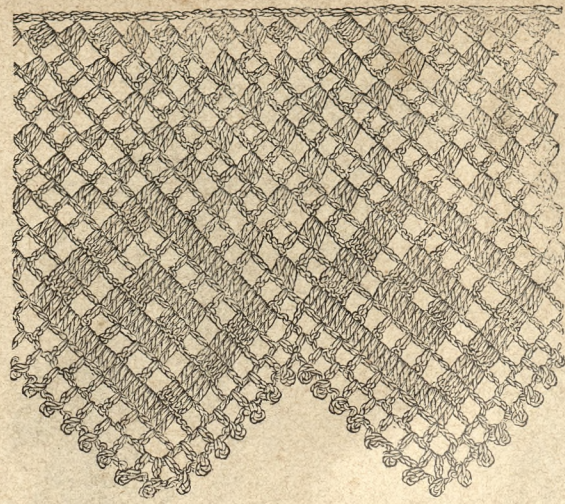
79 jedną część złożoną wzdłuż środka, podług fig. 82 patki rękawów, zaopatrzone jak i kołnier podszewką i podkładem. Plecy, boczki przody zeszyć, wykonać w przodach zaszewki, zrobić dziurki i przyszyć guziki obciążone czarnym jedwabiem. Przód, kołnier i mankiety ozdobić sutaszem, wszyć kołnier od liczby 84 do 88, zmarszczyć wierzchni rękaw od * do *, i od : do :, zeszyć je od 89 do 90 i od 91 do 92, ubrać mankiety i wszyć w stanik, trafiając 92 na 92 w przodach.



■ pierw. (najciem.), * drugi, □ trzeci, (najjaś.) oliwowy, □ pierw. (najciem.), □ drugi, □ trzeci (najjaś.) ceglasty, □ czarny, ■ pierw. (najciem.), □ drugi, □ trzeci (najjaś.) pasowy, ■ ciemno-brązowy, ■ ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, □ zielony, □ złoty. Nr 27. Desen na poduszkę.



■ ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, * pasowy, □ złoty, □ biały. Nr 20. Czwarta część desenu na poduszkę do ryc. 26



Nr 22 Koronka robotą szydełkową.

Pierniki małe ko-rzenne.

Funt słodkich i 4 łuty gorzkich migdałów, sparzonych i obciążonych z łupinki utłuc następnie utrzeć w donicy i wymieszać z $3\frac{1}{2}$ funtami najlepszej pszennej mąki, dodając laseczkę wanilii, łut cynamonu, $\frac{2}{3}$ łuta gwoździków korzennych i $\frac{1}{2}$ łuta kardamonu, dodatki te tłucze się każdy z osobna i przesiane mięsza z mąką dodawszy jeszcze drobnutko po-



Nr 25. Suknia z gładkiego i w pasy materiału Plecy. krajanej skórki (Do ryc. 3 w Bl. Nr 49).

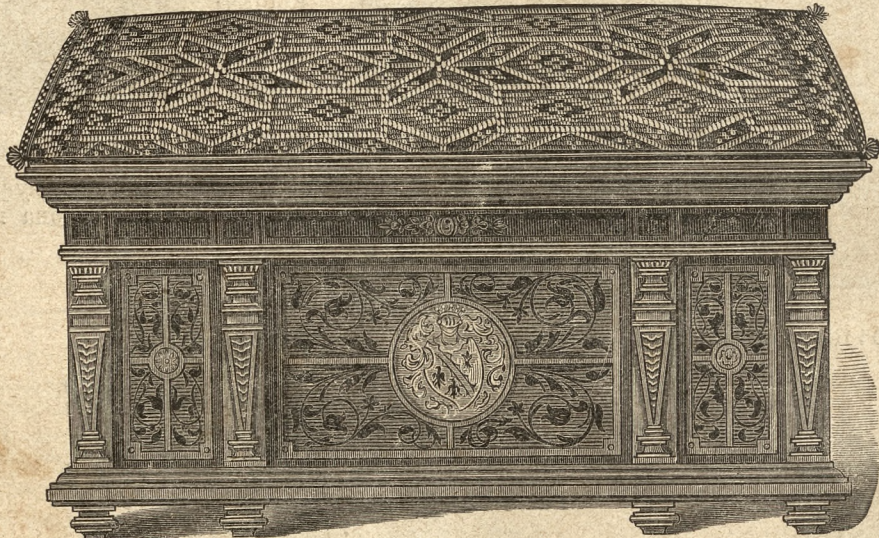
Następnie rozpuścić na ogniu $2\frac{1}{2}$ funta mączki cukrowej w $1\frac{1}{2}$ funta miodu, a skoro cukier rozpuści się w miodzie, wlać gorący do przygotowanej poprzednio masy, dodając jeszcze $\frac{1}{2}$ funta najmniej, lepiej nawet $\frac{3}{4}$ funta w wodzie rozpuszczonego potażu, poczem wszystko razem wygniata się rękami, dosypując tyle mąki, aby ciasto rozwałkować można. Po rozwałkowaniu ciasta na grubość trzonka noża, zapomocą małej szklaneczki lub kieliszka, wycina się okrągłe placuszki, układa na blasze posypanej mąką i piecze w umiarkowanie gorącym piecu, tak jednakże, iżby placuszki prędko zrumieniły się, gdyż nie powinny być dłużej trzymane w piecu nad 8 minut. W przeciwnym razie będą suche i twarde, a powinny być wewnątrz ciągli-

we i lepkie. Wyjęte z pieca natychmiast zdejmują się z blachy, gdyż po wystudzeniu będą za kruche i łomliwe. Z powyższej ilości otrzymuje się przeszło sto sztuk pierników wybornych. Zamiast migdałów użyć można orzechów laskowych, tak samo postępując jak z migdałami.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół ze słodką kapustą.
2. Sztukamięsa biała z ogórkami.
3. Groszek zielony, lub marchewka z grzankami.
4. K a p l o n z kompotem.
5. Budyń czekoladowy.



Nr 26. Skrzynka z poduszką robotą kilimkową. (Do r. 20).

Nr 23. Podstawka pod lampę. $\frac{1}{2}$ wielkości naturalnej.